



Nazwa instytucji

**Książnica Cieszyńska**

Tytuł jednostki/Tytuł publikacji

**Obrazki z historyi kościelnej w świetle obecnego czasu :  
przemówienia przy rannych nabożeństwach w ewangelickim  
kościółie w Orłowej / wygłosił Karol Banzel.**

Liczba stron oryginału

**52**

Liczba plików skanów

**52**

Liczba plików publikacji

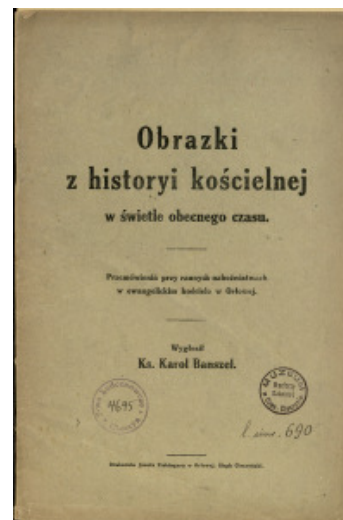
**53**

Sygnatura/numer zespołu **C II 005144**

Data wydania oryginału **[non post 1922]**

Zdigitalizowano w ramach projektu pt.

**Udostępnienie cieszyńskiego dziedzictwa  
piśmienniczego on-line**



**Fundusze  
Europejskie**  
Program Regionalny



**Śląskie.**

**Unia Europejska**  
Europejski Fundusz  
Rozwoju Regionalnego



# Obrazki z historyi kościelnej w świetle obecnego czasu.

---

Przemówienia przy rannych nabożeństwach  
w ewangelickim kościele w Orłowej.

---

Wygłosił  
Ks. Karol Banszel.



*h. inv. 690*

284: 25 "13"SL

C.00514411



## Drogi zborze!

Jesteśmy ewangelickimi chrześcjanami. Wyrażenie »Ewangelicki chrześcjanin« wypowiada się tak prędko — a jednak, jak wzniosła i doniosła tkwi w nim treść! Wielkie i długie ma za sobą dzieje. Wyraz »chrześcjanin« wskazuje nam na Chrystusa, jako założyciela chrześcjanstwa. Historia chrześcjanstwa pokazuje nam, jak powodziło się chrześcjanom od pierwszych aż do naszych dni. Słowo »Ewangelicki chrześcjanin« zmusza nas do zastanowienia się nad dziejami ewangelii Jezusowej od śmierci Chrystusa aż do naszych czasów. Uczynimy dobrze, jeżeli w duchu przeniesimy się o 1885 lat w przeszłość i przypatrzymy się życiu religijnemu pierwszych chrześcjan. Taksamo uczynimy dobrze, jeżeli następnie śledzić będziemy rozwój chrześcjanstwa od stulecia do stulecia na zewnątrz i wewnątrz. Chcemy przy tem zważać, czy owo chrześcjanstwo z upływem setek lat nie uległo zmianie i czy może to chrześcjanstwo nie stało się zupełnie czemś innem, niż chciał Jezus.

Przyglądnijmy się najprzód pierwszym zbiorom chrześcjaniskim!

W niedzielę, w święto wylania Ducha św. 33. roku został założony w Jeruzalemie pierwszy zbór chrześcjan. Liczył około 3000 dusz. Czemże różnili się ci wyznawcy Chrystusa od pogańskiego i żydowskiego społeczeństwa? Czy może tylko nowa nauka? Nie! Ożywająca siła ducha Jezusowego nadała ich myśleniu nowy kierunek, zmieniła ich całą istotę; jako rewik zmieniła dzikie drzewo, przesiąkając je swoimi sokami, tak soki ducha Jezusa przeistoczyły, odrodziły owych chrześcjan. Spreżyną ich życia był odtąd nie egoizm, samolubstwo, ale szczerza, serdeczna, głęboka miłość i wiara w Jezusa. Z nim obcowali tak, jak obcuje szlachetna narzeczona ze swym rycerskim oblubieńcem. Życ i umierać dla Jezusa — to było ich gorącym pragnieniem.

»Niech na dnie serca pozostanie  
Wyryte, Jezu, imię Twe!  
Mą duszę Swą miłością Panie,  
Napełnij, zniszcz w niej wszystko złe!  
Niech będę w Twej miłości stały,  
By bił ode mnie blask Twej chwały!«

O Jezusie rozmawiali z sobą — a radość anielska biła przy tem z twarzy. Każdy z nich chciał czem jak najwięcej dla niego zdziałać. Służono sobie wzajemnie w bratniej żarliwej miłości. Różnice społeczne znikły. Pan był bratem słudze, sługa bratem panu. Nie jakoby sługa chciał być panem, a pan sługą; ale pan odtąd już nie wyzyskiwał usługi-brata, a sługa tem gorliwiej i wierniej pracował, nie dla tego, że otrzymał wielką zapłatę, ale z miłości ku Jezusowi. Nie mógł inaczej! Pracę uważał nie za środek wzbogacenia się, ale za środek, którym mógł się przyczynić do chwały Jezusa. Swoją zdolnością i dzielnością robił każdy ochotnie i rączy dla wspólnego celu, dla Jezusa. Jako w ciele różne są członki, a każdy inną wykonywa pracę, jeden przedniejszą, drugi podlejszą, nie wymyślając i nie zazdroszcząc jeden drugiemu, tak też pojedyncze członki zboru chrześcijańskiego pracowały — każdy na swoim stanowisku — duchem wielkiej przyjaźni zespolone. Byli dyrektorowie, inżynierowie, robotnicy i urzędnicy, każdy z nich odrębną wykonywał pracę, ale wszyscy przy pracy i po za pracą byli braćmi, jeden duch miłości łączył ich wszystkich.

Ta sama miłość też sprawiła, że bogaci sprzedawali posiadłości i majątności, a otrzymane pieniądze przynosili do wspólnej kasy, z której otrzymywali wsparcia biedni, wdowy i sieroty. Nikt nikogo nie zmuszał do takiego postępowania. To była rzecz dobrowolna. Ale inaczej być nie mogło, bo

»Przez wiarę tylko w Boga  
Równość jego synów,  
A przez miłość tylko droga  
Do braterstwa czynów«.

powiada słusznie Or—Ot.

Pierwsi ci chrześcijanie nie uważali własności za swoją rzecz; będąc jej szafarzami oddawali ją bez szemrania do społecznego używania. Spostrzegamy tu zarodek zamiany własności prywatnej na własność ogółu. Tę myśl przejął później socjalizm.

Z powyższych wywodów wynika, że w pierwszym zborze istniał ten idealny stan rzeczy, który dziś nazywamy komunizmem, t. j. wspólnością wszystkich rzeczy, z tą tylko wielką różnicą, że komunizm w chrześcijańskiej gminie jerozolimskiej wykwitnął z umysłu naswkrós przejętego duchem miłości, prawa i sprawiedliwości, jednym słowem: z ducha Jezusowego, obecny zaś komunizm ma być przeprowadzony środkami gwałtu. Do pierwowzoru komunizmu jerozalemskiego w przyszłości przyjsć musi, ale najprzód musi nastąpić zupełna zmiana umysłu ludzkości. Wprzód musi rozkrzewić się i potężnym, świętym ogniem zapalić się w sercach ludzkich miłość, sprawiedliwość

i pokój, a potem koniecznością rzeczy wyłoni się cudowny, nowy świat, świat komunizmu.

Dlatego przyjaciele wszystkich zabarwień pod względem pracy społecznej!

Udajmy się do szkoły Jezusa!

»Ramię do ramienia!

Wspólnemi łańcuchy

Opaszmy ziemskie kolisko,

Zestrzelmy myśli w jedno ognisko

I w jedno ognisko duchy!

Razem drodzy przyjaciele,

W szczęściu wszystkiego są wszystkich cele!

Przebaczenie, kochani, to krótkie zboczenie! A teraz wróćmy do tematu. Jeden duch miłości i wiary żarliwej objawiał się w pierwszym zborze chrześcian. W życiu domowem i społecznem było można to zauważyć. A w ich zgromadzeniach religijnych — jaki tam podniosły nastrój! Śpiewają psalmy i pieśni w języku zrozumiałym, następnie opowiada apostoł nie jedno, co widział i słyszał, będąc z Jezusem: modlą się, zachęcają do życia podług myśli i woli Wniebowziętego. Poganie, widząc ich pobożność nie tylko w ustach, ale w życiu, wyrażają się o nich słowy zachwytu i podziwu mówiąc: »Patrzcie, jak oni się wzajemnie miłują!«

A gdzież się zgromadzali? Najprzód w żydowskim kościele; a później, kiedy poczęto ich prześladować, w domach prywatnych. Tu po nabożeństwie obchodzą wieczorne uczyty miłości, tak zwane agapy — tu odprawiają wieczerzę Pańską. Apostoł podaje obecnym chleb, następnie wino w kielichu, powtarzając przy tem słowa Mistrza: »Bierzcie i jedzcie, to jest ciało moje! Bierzcie i pijcie, albowiem to jest krew moja nowego testamentu, która się za wielu wylewa na odpuszczenie grzechów!«

Tu nie było kapłanów mszę odprawiających. Tu nie było kardynałów w ślicznych pałacach mieszkających, tu nie było biskupów, palarnie i wielkie dobra posiadających — tu byli wszyscy braćmi i siostrami.

Ale przecie musiał być, choćby tylko formalnie, jakiś przewodniczący! myśli ktoś. Otóż prawda: byli apostołowie. A ponieważ zbory rosły, jak grzyby po ciepłym deszczu, więc w pojedynczym zborze był później jeden tylko apostoł, jako naczelnik. Nie uważał się za coś wyższego od innych. Nie! idąc śladem Nauczyciela, który umywał uczniom nogi, był sługą wszystkich. Nie dla siebie chciał czci, chciał tylko, by szerzono i wielbiono Jezusa. W miarę rozwoju zborów powoływano do pomocy dyakonów. Takim dyakonem był n. p. Szczepan, którego później żydzi dla jego wiary ukamionowali. Przy wyborze

pierwszych dyakonów — i wcześniej już przy wyborze apostoła Macieja na miejsce Judasza — napotyamy na zjawisko właściwe obecnemu prądowi czasu. Kto wybiera? Czy apostołowie, czy wszyscy wierni? Czy apostołowie narzucają zborowi jakąś osobę, albo czy zbor, a więc lud sam, wybiera z pośród siebie odpowiednie jednostki? W dziejach apostołskich r. 6. czytamy: »A tak oni dwunastu, zwoławszy mnóstwo uczniów, rzekli: »Upatrzcie, bracia między sobą siedmiu mężów, itd.«

A więc apostołowie nie narzucają swej woli ludowi, lud sam ma stanowić o sobie. Napotyamy tu czysty demokratyzm. Gdyby na tej podstawie były rządziły się pojedyncze państwa, to znaczy, gdyby ten duch chrześcijańskiego demokratyzmu później nie był został zopaczony, ba nawet wyrugowany, wtedy nie byłibyśmy mieli tyle wojen i obecna światowa zawierucha byłaby niemożliwą. Prezydent Wilson w swych czternastu zdaniach o samostanowieniu narodów stoi na stanowisku biblijnego demokratyzmu.

Ale do rzeczy! W chwili, w której było już więcej niż 12 zborów, wybierali sobie członkowie starszego, poważnego, duchem Jezusa przejętego współbrata za przewodniczącego. Tento przewodniczący nazywał się prezbiter, t. j. starszy, w zborach powstałych z dawniejszych żydów; zaś w zborach, w których skład wchodził dawniejsi poganie, tytułowano przewodniczących biskupami, co się tłumaczy: dozorca. Zadaniem tych biskupów czyli prezbiterów było czuwanie nad czystą nauką Jezusa, opiekowanie się słabszymi zborownikami i prowadzenie nabożeństw. Czego wymagano od prezbiterów-biskupów? Ap. Paweł odpowiada na to pytanie w liście do Tymoteusza: »Biskup ma być nienaganny, mąż jednej żony, czuły, trzeźwy, poważny, gościnny, ku nauczaniu sposobny. Nie pijanica wina, nie sprostego zysku chciwy, ale słuszną miłujący, nie swarliwy, nie łakomy; któryby dom swój dobrze rządził, któryby działki miał w posłuszeństwie ze wszelaką uczciwością.

Wymagano więc po przełożonych, by byli chrześcijańskimi charakterami w całym słowie tego znaczeniu. Skąd oni przewodniczący mogli znać naukę Jezusa i jej żywotną siłę? pytasz. Pierwsi prezbiterowie albo sami jeszcze byli uczniami Jezusa, albo przynajmniej przez dłuższy czas obcowali z apostołami, którzy przelewali ducha swego w nich, opowiadając im o Jezusie. Pisywali też do nich listy z potrzebnem uzupełnieniem tego, co już wiedzieli. Ale nie tylko do prezbiterów wysyłali apostołowie swe listy; pojedyncze zbory otrzymywały od nich obszernie listy zachęcające do wytrwania przy chorągwi Chrystusa, do nieobłudnej miłości wobec Boga i bliźniego. — »Dziateczki moje! Nie miłujmy się słowem ani językiem, ale uczynkiem i prawdą!« pisze Jan.

Później jednak w miarę szybkiego rozszerzenia się ewangelii i powstawania coraz to nowych, kwitnących zborów nie mogli apostołowie odwiedzić wszystkich społeczności i dlatego niektórzy z nich postanowili spisać wszystko to, czego świadkami byli za czasów przebywania z Jezusem. W ten sposób powstały cztery ewangelie, to znaczy książki, zwiastujące nam miłą nowinę, wesołe poselstwo: »że tak Bóg umiłował świat, iż syna swego jednorodzonego dał, aby każdy, kto weń wierzy, nie zginął, ale miał żywot wieczny.« Opowiadają nam te ewangelie o życiu i działalności Jezusa. Tym ewangeliom mamy do zawdzięczenia, że jeszcze dziś widzimy jasną postać Jezusa z gorącym pragnieniem, by na świecie odzyskano utracony raj, widzimy pogodną jego twarz z oczyma, w których odzwierciedla się niewypowiedziana, bezgraniczna miłość, z oczyma na nas uporczywie skierowanymi, jakoby chciał dotrzeć aż na samą głęb duszy naszej i tam poruszyć najskrytszą strunę serca. Pod wpływem tego przenikliwego wzroku mocniej drga ona struna, chcąc całe serce, całą naszą istotę wypełnić łamielską muzyką czasowego i wiecznego szczęścia. O bracia i siostry, nie skierowujmy duszy naszej w stronę błędnych ogników! Do słońca, do ciepła, do Jezusa! A nieznana błogość owionie nam wnętrze. Kiedy duchem jego żyć będziemy, kiedy ludzkość cała jego duchem oddychać będzie, wtedy rozbrzmia i ciałem się staną hasła: Wolność, Równość i Braterstwo!

O Jezusie mówią, cztery ewangelie. Jako miasto ze czterech stron widziane uwydatnia się nam jako całość, tak widzimy Jezusa ze czterech stron ewangelii w pełni łaski i prawdy, chwały i mocy. Te ewangelie razem z dziejami apostołskimi, z listami i objawieniem św. Jana zostały w drugim stuleciu w całość ujęte i odtąd oglądamy te księgi jako »Nowy Testament«.

W Mor. Ostrawie widziałem w ewangelickiej farze Nowy testament, w którym tkwiła kulka karabinowa, która maluczko a byłaby sobie drogę utorowała do serca właściciela. Nowy testament więc uratował życie żołnierzowi na froncie. I u nas Nowy Testament niejednemu uratował życie. Jego duch zmienia nasze usposobienie, kształci charakter, druzgocze przesady, toruje drogę kulturze i cywilizacyi, prze nas na nowe życia koleje.

Dlatego, kto pragnie, by takie życie religijne zapanowało, jakie istniało w apostołskich zborach; kto chce, by na ziemi rozszerzyło się królestwo niebieskie; kto chce, by wśród ludu naszego zniknęły bezwstydne, życie zatruwające, polot duszy uniemożliwiające szmaty w postaci brudnej literatury, i oświaty fałszywej; komu na sercu leży dobro ludu naszego i narodu i młodzieży naszej, — ten niech śpieszy do niewyczerpanego

źródła religijnych, moralnych i kulturalnych sił, do Nowego Testamentu, do Biblii! Mój ludu, hoc signo vinces! W Biblii, w tym znaku zwyciężysz!

## Kochani współwyznawcy żywej wiary Jezusa!

Jako po paru pięknych, jasnych dniach na wiosnę zima jeszcze przez krótki czas wraca, chcąc zwalczyć, zgwałcić nowy okres czasu, tak też zima żydowskiego zakonu i chłód pogańskiego bałwochwalstwa rzuciła się na cudowną wiosnę nowo tworzącej się potęgi chrześcijańskiej. Poczęto wyznawców Chrystusa prześladować. Ale niech się tylko groźna zima sroży, wiosna koniecznością rzeczy zwycięstwo odnieść musi! Duch musi zapanować nad materią, jasność nad ciemnością! Półciemność religii żydowskiej i pogańskiej pierzchnąć musiała przed mocnym światłem religii serca i życia. Nie pomogło tępienie chrześcijan ogniem i mieczem. Ci, co miecz brali, od miecza pogrążyli. Lecz nim ostrze miecza w prześladowców się zwróciło, było niezliczenie wielu w okrutny, w każdy możliwy i niemożliwy sposób prześladowanych.

Oto żydzi kamionują dyakona Szczepana. Rzucają apostołów do ciemnej celi więziennej. Nie pomaga mądra rada żydowskiego szlachcica Gamaliela: »Mężowie Izraelscy! Dajcie pokój tym ludziom i zaniechajcie ich; albowiem, jeżeli ta sprawa jest z ludzi, wnikniesz się obrócić; ale jeżeli jest z Boga, nie będziecie mogli tego rozerwać, byście snąc i z Bogiem walczącymi nie byli znalezieni«.

W r. 44. kazał Heród Agryppa mieczem zabić Jakóba, brata Janowego. Zaś 20 lat później najwyższy kapłan, imieniem Ananus, polecił zabić Jakóba Sprawiedliwego, cielesnego brata Jezusa. (Jezus miał bowiem czterech braci cielesnych i co najmniej dwie siostry. To wynika z ewangelii Marka, r. 3. 3. — »Izali ten nie jest cieśla, syn Maryi i brat Jakóba i Jozesa i Judasa i Szymona? Aż tu nie masz i siostr jego u nas?) Lecz już niewidzialna ręka wykuwała płomienistymi literami na ścianie gmachu królestwa żydowskiego swoje straszne: »Mene, mene, tekel, upharsin. — Zważonyś, zważonyś i znalezionyś lekki. W 66. roku przygotowują się zaślepieni żydzi do rewolucji. Chrześcianie chronią się w Pelli, w miasteczku za rzeką Jordanem. Nic oni nie chcą mieć wspólnego z krwi przelewem.

Rewolucja została zgnieciona, rzymski wódz Tytus zdobył w r. 70. miasto Jeruzalem; rzymscy żołnierze zmienili to wspańiałe niegdyś miasto w perzynę.

Niekształtne tylko rumowisko pozostało.

Może zajmuje was dalszy los owej dawnej świetnej rezydencji izraelskich królów? Otóż w roku 126 odbudował cesarz Hadryan znowu Jeruzalem, sprowadził tam rzymskich kolonistów i osadził ich. Świątynię Jehowy zamienił na świątynię rzymskiego Boga Jowisza. Później utraciło miasto nawet i nazwę, która teraz brzmiała: Aelia capitolina. Góra Syon, na której dawniej jaśniała świątynia, została zoraną. W ten sposób sprawdziło się prorocze słowo: »Przetóż Syon dla was porwany będzie, a Jeruzalem w gromady gruzu obrócone będzie, a góra domu Bożego w wysokie lasy (Mich. 3. 12.). Dopiero cesarz Konstantyn odbudował miasto Jeruzalem i przywrócił mu dawną nazwę.

Chrześcianie nie brali udziału w powstaniu. Ucieczką ich przed prześladowaniem ze strony żydów było miasteczko Pella. Tu bawił też przez pewien czas apostoł Jan.

A cóż stało się z resztą apostołów? Piotr opuściwszy Palestynę, ewangelizował w Azji, Kapadocyi i Poncie i dostał się do Babilonu, gdzie też najprawdopodobniej umarł śmiercią męczeńską. Opowiadanie, jakoby był założył zbór w Rzymie i tu głową w dół został ukrzyżowany, jest co najmniej wątpliwem; bajką atoli jest twierdzenie, jakoby w Rzymie 25 lat piastował urząd pierwszego biskupa-papieża. Że Piotr pod żadnym warunkiem aż do roku 61. nie mógł działać w Rzymie, to wynika z listu Pawła do Rzymian, w którym Paweł przesyła pozdrowienie najróżniejszym chrześcianom, tylko Piotrowi nie. A przecie, gdyby Piotr tam bawił, Paweł nie byłby omieszkiał, pozdrowić go jako pierwszego. W roku 61. dostał się Paweł do Rzymu, a jednak nigdzie nie czyni wzmianki, że widział się z Piotrem.

Apostoł Jan odszedł z Pelli do miasta Efezu, gdzie przez 50 lat był przebiterem zboru. W Efezie został podług podania wrzucony do wrzącego oleju, ale ponieważ się go olej nie tykał, więc wygnano go wyspę Patmos. Wróciwszy stamtąd umarł w Efezie nad 100 lat stary śmiercią naturalną.

Apostoł Andrzej pracował — jak głosi legenda — w Scycyi, Tomasz pomiędzy Partami, Bartłomie w Indyach, Marek w Aleksandryi.

O reszcie apostołów — oprócz Pawła — nie wiemy nic pewnego. Z pewnością wszyscy umarli śmiercią męczeńską, na którą się cieszyli.

Nie tylko żydzi tępil ewangelię, ale i poganie a mianowicie Rzymanie poszli ich śladem. W państwie rzymskiem nie wolno było wyznawać innej religii jak tylko religię rzymsko-państwową. Robiono co prawda ustępstwa ze względów politycznych. Ale chrześcianie nie przedstawiali zwartej masy, zor-

ganizowanej korporacji, przeto nie potrzebowano się z nimi liczyć. A ponieważ rzymska sprawiedliwość chciała sądzić, więc poczęto chrześcijan pociągać do odpowiedzialności, dłaczego nie klęka i nie klękają przed statua, albo obrazem cesarza przy drogach wystawionym — przed obrazem rzymskiego cesarza, który przecie jest Bogiem — i po drugie, dłaczego modlą się do jakiegoś innego króla, którego Jezusem zowią. To poczytano im za zdradę stanu i skazywano na śmierć. A ponieważ rzymskie pospólstwo zauważyło, że rząd chętnie karze chrześcijan, więc sypały się na nich niesłychane skargi. Donoszono, że dzieci zabijają i jedzą mięso ludzkie i piją krew ludzką. (Złośliwi tak tłumaczyli ich Wieczerzę Pańską). Fabrykanci i handlarze medalionów i obrazków bożków świętych spostrzegali, że chrześcijanie tych rzeczy nie kupowali; widzieli się więc w swym zarobku ukróceni, przeto przed sąd z fałszywymi skargami! Wieszczkowie i czarownicy tracili na znaczeniu i kieszeni, dłatego przed sąd z przekłętymi chrześcijanami! Zdarzyła się jakaś posucha, lub powódź, pożar lub mór — któż temu był winą? Kapłani dawali odpowiedź: »Bogowie gniewają się na tych, co odstąpili od wiary i stali się chrześcijanami, z tego powodu kłarają nas! A pospólstwo chciwe wygód i igrzysk wierzy w swym kapłanom i morduje chrześcijan.

Do planowanego prześladowania przyszło jednak dopiero za czasów zdemoralizowanego cesarza Ncrona (54—68). Mówią, że chciał widzieć płonące miasto, dłatego kazał podpalić miasto Rzym. Nieszczęsny lud, przypisując winę cesarzowi, chciał go pociągnąć do odpowiedzialności. Ale tchórzliwy bóg powiada: »Nie ja to uczyniłem, ale chrześcijanie. — Więc, hej na chrześcijan! Sam cesarz dał najlepszy przykład. Zaszywano ich w skóry dzikich zwierząt i rzucano psom, lwom i tygrysom na rozszarpanie; innych zaszywano w worki, oblano smołą, przywiązano do pala, zapalono — a chrześcijańscy ci męczennicy świecili w nocach w ogrodach cesarskich jako żywe pochodnie ku wielkiej uciesze rzymskich magnatów i pospólstwa; zaś innych krzyżowano, ścinano, oczy im wypalano, ręce lub nogi odcinano — a chrześcijanie z hymnem i modlitwą na ustach wydawali ducha. W tych arenach i ogrodach Rzymu mocują się z sobą dwie potęgi. Przemoc i miłość, duch materializmu i duch Jezusa; która zwycięży?

Zdawać się mogło, że wszystkie demony przychodzą w pomoc tym, co prawdę zdeptać chcieli. Apostoła Pawła, głoszącego nieustraszenie prawdę Bożą, ścięto. Każdego, co nie uznawał państwowej rzymskiej religii, wygubiono. A jednak: dziś zgładzono dwudziestu, jutro stanieło pięćdziesięciu na ich miejsce, przyznawając się do wiary Chrystusa. Dziwny, cudowny to objaw, że można sprzątnąć ze świata osoby, w któ-

rych sercu prawda gości, wszelako prawdy samej pogrzebać nie można. A ta prawda wyszedłszy zjednego, wciela się w dwóch, trzech innych. Piękny wyraz dał tej myśli nasz mistrz poezyi Mickiewicz. Przypominacie sobie ono miejsce w *Dziadach*, które opowiada nam, jak djabeł znalazł po drodze ziarno. I powiada:

»Nie daremnie tu Pan Bóg rozsypał garść żyta,  
Musiał tu być w tych ziarnkach jakaś moc ukryta!  
Zrobił rogiem rów w ziemi i nasypał żytem.  
Napłwał, ziemią nakrył i przybił kopytem.«  
Ale z ziarenek wzeszło śliczne żniwo. —  
»O wy, co tylko na świat idziecie z północą,  
Chytróść rozumem a złość nazywacie mocą:  
Kto z was wiarę i wolność znajdzie i zagrzebie,  
Myśli Boga oszukać — oszuka sam siebie«.

Prawda tego słowa uskuteczniła się w rzymskich mocarzach. Nim jednak objawiła się w całej pełni, dręczono i męczono w międzyczasie chrześcian.

Domicyan, żądny pieniędzy, skazywał chrześcian na śmierć, zabierając ich majątki. Słyszał raz chrześcianina twierdzącego, że Jezus będzie królem świata. Aby dociec prawdy, kazał sprowadzić z Palestyny żyjących jeszcze krewnych Jezusa. Ale widząc ich twarde ręce i zmarszczone twarze, poznał w nich na pierwszy rzut oka zwykłych rękodzielników. Wiedział już, że pod względem politycznym twierdzenie, iż Jezus stanie się królem świata, jest niedorzecznością. Za czasów Domicyana zginął Tymoteusz, prezbiter w Efezie.

Następca jego, Nerwa nie prześladował chrześcian. Przez dwa lata chrześcianie mieli względny pokój. Ale była to cisza przed mową burzą.

Cesarz Trajan, lubo sprawiedliwy i poważny władca, właśnie dla swego poczucia rzymskiej sprawiedliwości pozwalał na prześladowanie chrześcian, dlatego że nie chcieli przed posągiem cesarskim palić kadzidła, że nie chcieli Chrystusa się wyprzeć.

Męczenną śmiercią umarła chrześcijanka — imieniem Symforsa. Miała ona siedm synów. I matka i synowie kochali Jezusa i za nic w świecie nie chcieli się go wyprzeć. I co się im stało? Matkę najprzód rzemieniami i kijami obito tak, że całe jej ciało było sine i krwią zbryzgane. Następnie powiesili ją za włosy na drzewie. I tak wisiała przez pewien czas. Żołnierz przyszedł się popatrzeć, czy jeszcze żyje. A ponieważ jeszcze żyła, więc rzucił ją do wody.

Siódmy najmłodszy synaczek musiał przyglądać się, jak trapiłi matkę, jak męczyli następnie jego sześciu braci. Witł się

z żalu nad bólem matki i braci. A żołnierz przychodzi do niego i namawia: »Powiedz, że nie chcesz być chrześcianinem a nic ci się nie stanie!«. Ale chłopak odparł: »Nie! Ja Jezusowi pozostanę wierny! Za to go potem przepiłowali.

Po śmierci Trajana prześladowanie znowu trochę przy-  
cichło. Natomiast za panowania Marka Aureliusza (161—180) mieli chrześciane gorzkie chwile. W mieście Smyrna został wprowadzony do amfiteatru sędziwy, białobrody Polikarp, uczeń apostoła Jana. Starosta namawiał go do dobrodusznictwa, by wyrzekł się Chrystusa. Ale ten odrzekł: »86 lat służyę mu a nigdy mi nic złego nie wyrządził; miałabym teraz pod koniec życia wyrzec się mego Pana i Króla! Starosta groził ogniem i dzikimi zwierzętami — daremnie! Postawiono go na stosie, ale płomienie się go nie tknęły; wreszcie przebito go włóczniami.

Septymiusz Sewerus (193—211), którego miał słu-  
ga jego Prokulus wyliczyć z jakiejś choroby, z początku bronił chrześcian przed nienawiścią i brutalnością motłochu. Ale w roku 202. zakazał przechodzenie do wiary chrześciańskiej. Kto nie chciał się poddać temu rozkazowi, tego ścigano sądownie.

W Aleksandryi wycierpiała męczarnie nie do opisanie  
dziewica, imieniem Potamiena, słynąca z piękności i oby-  
czajności. Pod koniec zanurzono ją powoli do wrzącej smoły. Żołnierz, widząc jej męstwo i wiarę w chwili umierania, sam został chrześcianinem, za co go tego samego wieczoru jeszcze ścięto.

W latach 211 do 250 mogli chrześciane trochę odetchnąć. Już zbliżał się wiosenny maj chrześciaństwa. A jako na wiosnę rolnicy uprawiają rolę pod zasiew, tak wyznawcy Chrystusa uprawiali rolę serc społeczeństwa, siejąc wszędzie ziarenka słowa Bożego. I jako drożdże przesiąkają całe ciasto, tak zdrowy mocny duch chrześcian przesiąkał wszystkie warstwy ludności. Ale jako na początku maja czasem jeszcze złowroga burza się zerwie, siejąc grad, tak też posypał się jeszcze raz grad prześladowania na rolę chrześciaństwa.

Krew się leje, trup się sieje. Prześladowanie stało się ogólne, szalone, dzikie, jakby szatan sam z piekielnymi mocami w tan poszedł. Historia powiada nam o straszliwych bezecenstwach i okrucieństwach: wylupywano oczy, odcinano ręce i nogi, a kaleków takich zasyłano do robót w kopalniach.

Ale zajaśniało złote, ciepłe słońce wolności i swobody religijnej. Cesarz Konstantyn Wielki wydał w r. 313. w mieście Medyolanie patent tolerancyjny, którym przyznał chrześcianom zupełną swobodę religijną i równouprawnienie w kierunku obywatelskim i politycznym.

Legenda głosi o tem: Gdy w wojnie Konstantyna z wrogiem Maksencjuszem zwycięstwo już się przechylało w stronę Maksencjusza, wtedy ujrzał Konstantyn w obłokach jasny krzyż z jasnym napisem w koło: Tuto nika — w tym znaku zwyciężysz! I w imię Ukrzyżowanego zwyciężył.

Po zupełnym zwycięstwie nad swymi nieprzyjaciółmi, państwo rzymskie przestało być państwem pogańskim, a stało się państwem chrześcijańskim.

Następcy Konstantyna są chrześcijanami. Tylko jedyny Julian Apostata, co się tłumaczy: Odstępca, drwił sobie z Chrystusa. W roku 363 prowadził wojnę z Persami, w której też poległ. Krótko przed jego śmiercią miał się zapytać cesarski nadworny kapłan pewnego chrześcijanina: »Co robi wasz syn, cieśli? (mianowicie Jezus). A ów chrześcijanin odrzekł: »Przygotowuje trumnę dla twego cesarza, kapłanie!« Opowiadają też, że Apostata wyzionął ducha z wiekopomnem słowem na ustach: »Tandem vicisti, Galilae! — Jednak zwyciężyłeś Galilejczyku!«

Po jego śmierci cierpią cesarze pogaństwo w państwie. Cesarz Teodozjusz Wielki ogłosił jednak religię chrześcijan za panującą w roku 395. Innych wyznań nie cierpiano.

Poganie oczekiwali zapadnięcia się nieba i końca świata. Ale świat stał i stoi, a prawda Jezusowa odniosła zwycięstwo. Chrześcijaństwo tryumfowało.

Pod koniec czwartego stulecia chrześcijaństwo porównać byśmy mogli z warownym grodem w którym panuje karność, ład i porządek, w którym wszyscy mieszkańcy są niby rycerzami każdej chwili gotowymi do obrony. Wszyscy są równi, wszyscy mają przed sobą jeden cel, jeden duch wiary i miłości wszystkich łączy. Życie ich społeczne jest odbitką wolności, równości i braterstwa.

Stosowała się do nich treść pieśni:

»Wstańmy bracia wraz —  
Pan w pośrodku nas!  
Razem serca, razem dłonie  
A zagości miłość w łonie.  
Nie rozerwie wróg,  
Co połączył Bóg!  
Jeden łaski cud  
Nasze serca splótł.  
Jedna w sercach miłość łączy,  
Jeden Chrystus bije z twarzy;  
Jeden wie dzień tór  
Do niebieskich gór!«

Po roku 400 ów warowny gród poczyną się zmieniać w wygodny, wspaniały pałac. Rycerze powoli zewlekają żelazny pancerz wiary i oblekają się w miękki jedwab dogmatu. Braterskość bierze żebraczy kij do ręki, a służalczość wieżdza na wysokim koniu. Lud traci na znaczeniu, słuchać tylko musi. A Jezus idzie w chatki biednych, w nory chorych, wyzyskiwanych i uciemiężonych, bo w pałacu siedzi jego następca.

## Kochani bracia i siostry!

Czy nie zastanawialiście się już kiedyś nad tem, w jaki sposób wytworzyła się w chrześcijaństwie owa znakomicie zorganizowana duchowna monarchia, która jeszcze teraz przedstawia potęgę wielką w kościele katolickim? Wiem, że niedostateczne o niej macie pojęcie. Przeto chciejcie ze mną wglądać w spiżarnię historii, a z pewnością uda się nam zebrać materiały do rozwiązania pytania.

Po śmierci apostołów stali na czele pojedynczych zbiorów — jak już wspomnieliśmy — prezbiterowie-biskupowie. Lecz stosunki i okoliczności sprawiły, że niektórzy mieli większe znaczenie i poważanie. Tak n. p. biskup zboru miejskiego miał nadzór nad zбором na wsi. Zaś miasta jak Rzym, Efezy, Aleksandrya, Jeruzalem, nazywane siedzibami apostołów, większego nabywały znaczenia od innych miast i tamtejsi biskupi stali się z biegiem czasu zwierzchnikami biskupów w sąsiednich miastach i wsiach. Największą sławą zaś cieszył się Rzym, jako stolica państwa rzymskiego. Biskupi Rzymu otoczeni są wielką powagą.

Powoli wytwarzają się w kościele różne urzędy niższe i wyższe. Powoli zapomina się, że wszyscy równi jesteśmy, że nie ci są czemś większem i wyższem, co piastują jakiś urząd, ale — jako Piotr w liście swym się orzeka — że wszyscy wierzący »jesteście rodzajem wybranym, królewskiem kapłaństwem, narodem świętym, ludem nabytym, abyście opowiadali cudzy tego, który was powołał z ciemności ku dziwniej swojej światłości« — powoli przyszło do tego, że lud nie miał nic do powiedzenia, musiał tylko słuchać biskupów i ich urzędników a każdy, kto chciał być zbawiony, musiał być im posłuszny. Lud nazywano »laikami«, urzędnicy kościelni zaliczali się do »kleryków«. Powoli uważali się klerycy za wybranych Bożych. W ten sposób oddalano się coraz bardziej od Jezusa i Jego ewangelii. Kościół poczyną się dzielić nieznacznie na razie na dwa wielkie stronnictwa: na burżuazyj i proletarву-

szy — jeżeli się tak śmie wyrazić, z tą różnicą tylko, że owa burżuazya czyli hierarchia kościoła była dobrze zorganizowaną, t. zn. że biskupowie pojedynczych powiatów i krajów utrzymywali ze sobą łączność i w ten sposób nadali całemu kościołowi znamię katolicyzmu, to jest powszechności. Było trzeba jeszcze głowę. O to najwyższe stanowisko starali się przede wszystkim biskup rzymski i konstantynopolski. Żaden z nich nie chciał ustąpić. A ponieważ nie mogło przyjść do porozumienia, dlatego odłączył się w r. 1054 kościół wschodni od kościoła zachodniego, kościół grecki od kościoła rzymskiego.

Biskup rzymski stał się więc głową, ojcem czyli papieżem kościoła rzymsko-katolickiego. A jak to było możliwem?

Biskupi rzymscy mieli już na samym początku istnienia chrześcijaństwa największe znaczenie i poważanie dlatego, że 1. miasto Rzym było największym i środowiskiem życia kulturalnego, 2. pierwsi biskupi byli bardzo gorliwymi, dzielnymi i wzorowymi chrześcijanami, 3. poczęto później uczyć, że Piotr rzymskiego biskupa ustanowił następcą.

U pierwszych biskupów rzymskich spostrzegamy chęć i dążenie do mocy, panowania; ale dopiero Leo Wielki (440—490) nieśmiało nazywa się papieżem. Powołuje się przytem na słowa p. Jezusa u Mateusza r. 16, 18 »Tyś jest Piotr, a na tej opoce zbuduję kościół mój.« Doład biskupi pojedynczych zborów tłumaczyli sobie to słowo tak, że ona opoka oznacza silną wiarę Piotra. Nikomu ani na myśl nie przyszło, stosować to słowo wykrętnie do jakiej osoby, choćby najgorliwszej. Gdyby chciano powyższe słowa w rzymskiej myśli wyłożyć, toby w pierwszym rzędzie biskup jerozolimski mógł się na nie powołać, bo Piotr założył zbor w Jerozolimie. Przytem powołaniu się rzymskiego papieża na słowa Jezusowe, nie rozchodziło mu się o sprawę Chrystusa, ale jedynie o to, by zadosyćuczynić własnej ambicyi, by zaspokoić swą chęć wynoszenia się nad innych, swą żądzę panowania nad zebrakami tak samo, jak nad królem. Następcy Leona przejmują jego ideały i usiłują utworzyć powszechno-światową monarchię chrześcijańską; na razie jednak muszą ulegać zwierzchnictwu cesarza. Podbić sobie, usłużnymi uczynić królów, — to przedniem ich zadaniem. I ostatecznie udało się im to.

Papież Grzegorz VII. (1073—1085) podniósł papieństwo do tej potęgi. Kazał uczyć, że powinna być utworzona powszechna teokracja, t. j. widzialne królestwo Boże na ziemi, którego jedyną głową jest papież, jako zastępca Chrystusa. W tej papieskiej teokracji mają być połączone wszystkie państwa jako członki jednego ciała. Książęta i królowie biorą swoje namaszczenie i potwierdzenie od władzy duchownej. Królestwo podobne jest do księżycy, które od papieństwa jako od

słońca otrzymuje swoje światło i ciepło. I biada, ktoby odważył się sprzeciwić woli papieża i jego kapłanów. »Rzymskiemu arcykapłanowi poddanym być jest dla każdej ludzkiej istoty warunkiem zbawienia« — tak uczył w 12. stuleciu Tomasz z Akwinu, największy uczony.

A ponieważ cesarz Henryk IV. nie chciał się poddać woli papieża, więc go tenże wyklął ze społeczności kościoła, odjął mu godność cesarską, a jego poddanych uwolnił od przysięgi wierności. Tak Rzym chciał i tak się stać musiało. Lud był na on czas jeszcze bardzo klerykalnym, więc co miał cesarz robić? Wyjechał do Włoch celem pojednania się z papieżem. W zamku Kanossie go zastał. Trzy dni musiał cesarz w zimie bosą, jako pokutnik czekać w zamkowym podwórzu. Wreszcie na czwarty dzień pokazał się zastępca Pana Boga i dał się udobruchać i udzielił absolucyi.

Świetne, najświetniejsze to były czasy dla papieństwa. Wiedząc, że wszyscy i wszystko tchnieniem jego woli żyło, około niego biegało, jako psy biegają i skaczą około swej budy, zaprowadził tak zwany celibat, t. j. bezżenność księży, by zamienić ich na podległą i posłuszną armię Chrystusa? Nie! Papieństwa! by wzbogacić się ich dla swej rodziny zaoszczędzonymi groszami. Tych księży, którzy natychmiast nie opuścili żon i dzieci, wyklął. Widziałże świat kiedykolwiek coś tak nie-ludzkiego? Uczono, że Panu Bogu stan bezżenny bardziej się podoba. Dlaczegożże zakładać gniazda rodzinne, kiedy Panu Bogu miłszy jest kawaler? Nie należy się dziwić bezobyczajności!

## **W czasie tej wspaniałej dla papieństwa epoki odbyły się wyprawy krzyżowe.**

Ziemia święta, ziemia, po której błoniach Pan Jezus chodził, znajdowała się w rękach Arabów. Z początku wolno było chrześcianom odwiedzać te miejsca. Ale później, osobliwie za kalifa Hakema, który urodził się z matki chrześcianki — poczęto pielgrzymów i chrześcian tamże mieszkających dotkliwie uciskać. Francuski mnich Piotr Amieński wróciwszy z pielgrzymki z Palestyny szerzył wszędzie groźne wieści o udręce chrześcian i twierdził, że mu się Pan Jezus we śnie pokazał z rozkazem, żeby całe chrześcijaństwo wezwał do wyzwolenia grobu świętego. Dokąd przyszedł, wszędzie zapalał serca do wojny przeciw Turkom. Całe zastępy mężczyzn głosiły się na

wyprawę z fanatycznym okrzykiem: »Bóg tak chce!« i wszyscy dawali sobie na prawą rękę przypiąć czerwony krzyż. W roku 1096, w wiosennej porze, wyruszyło mnóstwo mężstwa pod dowództwem rycerza Waltera von Habenichts. Niebawem udał się za Walterem w drogę Piotr Amieński z 40.000 ludzi. Ale to żołdactwo plądrowało, gdzie przyszło; i dlatego wycieli je do połowy Bułgarzy, a drugą połowę wytępilli Turcy pod Niceą. Nowe tłumy, na ostatku 200.000 wojska bez wojskowej dyscypliny wyginęło na Węgrzech.

W sierpniu wyruszył Gotfryd z Bouillonu z regularnem wojskiem w liczbie 80.000 i przybył szczęśliwie do Konstantynopolu, gdzie złączył się z innemi wojskami, tak iż naliczyć było można 600.000 żołnierzy. Dnia 15. lipca 1099 zdobyto szturmem po wielkich stratach mury Jeruzalemskie. Brocząc w krwi doszli do chrześcijańskiego kościoła. Tu obrano Gotfryda królem. Ale ten korony przyjąć nie chciał, uzasadniając to tem, że nie chce na tem miejscu nosić złotej korony, na którym Jezus cierniową nosił. Przyjawszy ją jednak, umarł w rok potem. Następcą jego został brat jego, Balduin.

Turcy tymczasem nie spali. Przygotowali się do nowej wojny. W roku 1146 zdobyli Edesę, przedmurze Jeruzalemu. Papież Eugeniusz 3. na wszystkie świętości zaklinał wiernych do nowej wyprawy a prorok owego czasu Bernhard z Clairvaux (czytaj: Klerwo!) przepowiadał zwycięstwo. Ludwik VII., król Francji i Konrad III., cesarz Niemiec wybrali się na drugą wyprawę 1147 roku. Książęta ci pobici wrócili z niedobitkami znacznych swych wojsk do ojczyzny.

A Turcy zajęli czterdzieści lat później Jeruzalem.

Na tą straszną wieść o upadku Jeruzalema dali się przez papieża Grzegorza VIII. namówić do trzeciej krzyżowej wyprawy trzej pierwsi monarchowie. Cesarz Fryderyk Barbarosa, król francuski Filip August i król angielski Ryszard »Lwie serce«. Ale Fryderyk utopił się. Filip August powiadał, że chory i powrócił do Francji. Ryszard pozostał i odniósł nad Turkami parę wspaniałych zwycięstw. Ale ponieważ Filip August chciał wojną zalać Anglię, więc Ryszard zawarł z Saladyem trzyletni rozejm i zabrał się do powrotu. Wszelako w drodze został pojmany przez Leopolda Austriackiego i trzymany był w więzieniu dwa lata.

W roku 1202 przyszło do czwartej wyprawy za namową papieża Innocentego III. Ale i ta czwarta nic nie wskórała.

Roku 1212 wybrało się z Francji i Niemiec na świętą wyprawę kilka tysięcy dzieci. Ale już w Europie poginęło to biedactwo, a resztę zli ludzie sprzedali w Egipcie jako niewolników. W całości było siedm wypraw krzyżowych, które około sześć milionów ludzi kosztowały. Sześć milionów ludzi więc

zginęło. A jaka z tych wypraw korzyść? Właściwie żadna, bo ziemi świętej nie zdobyto. Ale papieżu te wyprawy bardzo się przydały, bo mu dopomogły być przez ten czas największą potęgą w chrześcijaństwie.

Papież Innocenty III. wyniósł stolicę papieżstwa na sam szczyt blasku i majestatu. Był to pod każdym względem genialny człowiek: pobożny, uczony, mądry, dbający o dobro kościoła. Starał się głównie o to, by dla swej stolicy uzyskać zupełną niezawisłość polityczną. Chciał on być rzeczywistym pierwszym panem na całym ówczesnym świecie. Do każdego kraju posłał swoich delegatów, swoich pełnomocników i w ten sposób swemu panowaniu umiał nadać charakter wszechdobytności. Śmiało twierdzić można, że papież Innocenty był wszechmocey i wszechdobytny, — (jak to zresztą przystało na zastępcę Pana Boga).

Następcy Innocentego żądają bezwarunkowego poddania się cesarza i królów pod władzę papieską. Ale już tam gdzieś w skrytych kniejach poczyną podnasać swą główkę, wolność sumienia i własnego przekonania: lud budzi się i domaga się swych praw.

Za czasów papieża Bonifacego VIII. (1294—1303) prawda Chrystusa podobna była do grobowca, nad którym śliczny stał pomnik. A na tym lśniącem pomniku wykute były złote litery: »Tu odpoczywa w pokoju ewangelia Jezusowa.« Ale coś tam w tym grobowcu rusza się, szeleści i pęka, jakby lew łamał kraty swej klatki....

Tymczasem Bonifacy VIII. rzuca klątwę na świeckich, co od duchownych żądali podatki i na duchownych, co świeckiej zwierzchności podatki płacili. Bo może duchowni byli ubodzy? Na podstawie dziesięciny, którą każdy laik płacić musiał, przez darowizny i zapisy wzmagaly się bogactwa kościoła; a wiadomo, że kto ma pieniądze, ma moc. Bonifacy był więc dbały o majestat pieniądza, o korzyści, które z papieżowania ciągnąć można.

Kraje były obsiane bogatemi klasztorami, których mieszkańcy—mnisi i mniszki najróżniejszego pokroju — sieciami swemi ogarniali żywotnych i nieżywotnych. Gdy śmiał się ktoś z ubogiego ludu skarżyć na nędzę, cieszone go słowy: »Cierp cierpliwie, albowiem obfita będzie zapłata twoja w niebiesiech«. Gdzież ewangelia ubogich, którą przyniósł Jezus? Gdzież stósunki w pierwszych zborach? Mało było wyznawców Chrystusa, natomiast przeważająca część chrześcijaństwa była wyznawcami kościoła katolickiego. A lud wierzył w dobrej myśli, iż tak być musi. Któż go miał pouczyć? Sam czytać i pisać nie umiał, wszystko zań załatwiał kościół — mógłże być idealniejszy stan rzeczy? Oświaty, oświaty, kultury! — wołamy.

Ale kto ją miał dać? Księża liche mieli wykształcenie i nadto nie w języku ludu, ale w języku łacińskim odprawiali nabożeństwa. Słowa oświaty prawdziwej, słowa Bożego w języku ludu nie było. Bajkami i opowiadaniem o świętych — nawet żartami nieprzystojnymi — karmiono owieczki. I owieczkom tak dobrze było. Bo ludzie zawsze tam się garną i dziś, gdzie mogą się uśmieć. Zaiste, ciemna mgła ogarnia ten lud. A poza murami tego kościoła nie ma zbawienia — uczono.

Ale ten wygodny pałac chrześcijaństwa poczyną pękać. Po Bonifacym spadają na papieństwo klęski — jedna po drugiej. Papież Klemens V. przeniósł swoją siedzibę do Awinionu we Francji, gdzie przez przeszło 70 lat pozostawali papieże i co nazywają babilońską niewolą papieństwa. Grzegorz XI. wrócił znowu do Rzymu w roku 1377. Po jego śmierci aż trzech papieży naraz tak budująco rządzą kościołem, że przeklinają siebie i swych poddanych. Biedny Pan Bóg, który miał takich zastępców na ziemi!

Wreszcie jedynym papieżem został Jan XXIII., który w młodych latach był piratą, rozbójnikiem morskim.

O następnych papieżach nie można mówić nic, co by się oświeconemu, poczciwemu i szlachetnemu człowiekowi podobać mogło.

Grobowiec, w którym rzymska hierarchia żywcem pochowała ewangelię Chrystusową, pęka, otwiera się, i w gloryi i chwale zmartwychwstaje Jezus, przyjaciel laików!

## Umiłowani w Panu!

Nim przystąpimy do omawiania nowego czasu życia religijnego, przypatrzmy się jeszcze religijności kościelnej aż do XIII. stulecia!

Życie religijne w pierwszych zborach oglądaliśmy już. Po mału ten ogień żywej wiary i żarliwej miłości coraz bardziej gasł. Cały ów wielki okres czasu od Teodozjusza Wielkiego aż do wystąpienia dr. Marcina Lutra w kierunku religijnym porównać możemy z hałdą, która coprawda dymi się — tu i ówdzie pokazują się śliczne równobarwne języki ogniste, ale zresztą przedstawia martwą, bezkształtną masę.

W pierwszych czterech stuleciach — dzięki prześladowaniu, znajdowała się w zborach chrześcijańskich sama tylko pszenica ludzka. Życie tych społeczności było odzwierciedleniem słów Jezusa: »Przykazanie nowe daję wam, abyście się społecznie miłowali; jakom i ja was umiłował, abyście się i wy miłowali. Stądci poznają wszyszy, żeście uczniami moimi, jeśli

miłość mieć będziecie jedni przeciwko drugim». Ta potęga, która niebo z ziemią sprzęga, drzewo tej miłości wydało piękne owoce: ogólne, wzajemne poważanie się, uszanowanie obcej narodowości, cześć kobiety, gościnność, płciową czystość, życie moralne, wstrzemięźliwość itd. »Nie masz Żyda, ani Greka; nie masz niewolnika, ani wolnego; nie masz mężczyzny, ani niewiasty, albowiem wszyscy wy jednym jesteście w Jezusie Chrystusie,« tak daje tej myśli wyraz Paweł w liście do Galatów r. 3, 28. A ponieważ — właśnie dla prześladowania — przylączyli się do zborów jedynie poważni członkowie, szukający pokoju duszy, dlatego te chrześcijańskie społeczności na zewnątrz przedstawiają niby w porządku najskrupulatniejszym, wzorowo pielęgnowany ogród pełen różnokolorowych kwiatów i prostych szlachetnych drzew. W ten sposób objawia się ich religijne życie na zewnątrz; jakóż wygląda ono na wewnątrz? Ta wewnętrzna strona — to ziemia święta, lepiej nie stanać na niej; zdala jej się przyglądnijmy! Modlą się. Zmawiają wyuczone modlitwy obracając przy tem różaniec? Ależ bracia! Między takim modleniem się i modleniem pierwszych chrześcian jest taka różnica jako między człowiekiem a zwierzęciem. Modlą się, to znaczy: z Bogiem rozmawiają tak, jak narzeczona mówi z oblubieńcem. Tu nie wargi tylko szepczą, tu przemawia serce do serca. Czyż nie zauważasz wyrazu anielskości na ich twarzach podczas modlitwy? Te wspólne godzinny modlitwy są dla nich tem, czem pokarm dla głodnego. Tu nabierają siły do życia podług woli Pańskiej, ze studni wspólnych modlitw biorą wytrwałość i radość w męczennictwie śmierci. Taką modlitwą zyskają dla Jezusa sąsiadów krzywdę im wyrządzających. Modlitwą, wiarą i miłością podbili cały świat. I gdyby ten duch, to usposobienie, było się utrzymało. inaczej wyglądałoby na świecie.

Modlą się. Do kogo ślą swe modlitwy? Do świętych, do patronów? Takich nie ma, na nic takie modły! Szkoda czasu! Ale jeden jest święty: Bóg! Pod tym adresem ślą chrześcijanie swe modlitwy. Tak ich Jezus nauczył. Kiedy raz uczniowie przystąpili do Jezusa, pytając jako mają się modlić, tenże dał im modlitwę za wzór, mówiąc: »Wy tedy tak się módlcie: Ojcze nasz, który jesteś w niebie.....« Nie rzekł im: »Wy tedy tak się módlcie: Święty Floryanie, albo święta Maryo...« Pierwsi chrześcijanie nie udawali się drogą urzędową, drogą instancyi do Boga, bo takiej nie było i nie ma — takiej drogi instancyi, jakąśniny, dawni żołnierze, u wojska znachodzili. Prawda, bracia, gdyście mieli jakąś prośbę, musieliście najprzód pójść do takszarzy, aby was napisał do raportu, następnie udaliście się do raportu kompanii, a potem do batalionowego raportu. Taką drogą instancyi musieliście iść, by otrzymać n. p. urlop

na parę dni. Otóż Jezus takiej drogi nie zna, znać nie chce. Bóg jest przyjacielem naszym, który wysłuchuje nas na każdym miejscu i w każdej chwili. A nie ma u Boga protekcji! Przed nim braćmi i siostrami jesteśmy. Czy król, czy żebrak, czy generalny dyrektor, czy górnik — przed nim różnicy nie ma! W każdym żyjącym widzi jedynie: człowieka. I tylko człowieka wysłucha. O tem przekonali się pierwsi chrześcijanie. Ale jak to wysłuchał ich? Wszak przecie źle im się powodziło, katuszowano i śmiercono ich? Przyjaciele! Może jeden albo drugi budował już dla siebie i dla swej rodziny dom. Nim ten dom został wybudowany i wewnątrz urządzony, musiałeś się bracie uciskać i wiele przykrości znosić. Ale myśl, że rychło stanie dom, tak cię zajęła, że na niedogodności, tyżące się twej osoby nie bardzo zważałeś. Tak samo miała się rzecz z pierwszymi chrześcijanami. Tak byli zajęci myślą budowania Królestwa Jezusowego, że na uciski nie bardzo zważali. Wiedzieli oni, że najprzód musi przyjść Jego Królestwo, najprzód musi się święcić imię Jego, najprzód musi być wykonaną wola Jego — a potem będzie wszystkim dobrze. Że im śmierć groziła, to nie odstraszało ich, intensywnie pracować dla Niego wiedząc, że Jego twarzą w twarz oglądać będą. Z tego powodu wielu garnęło się wprost do męczeńskiej śmierci. Nie gardzili życiem; za największy dar Boży je uważali, cenili je sobie, nie rujnowali, ale kiedy nadarzyła się sposobność, by to życie z powrotem oddać Panu, wtedy oddawali je bez szemrania, chętnie.

Całe życie tych wyznawców Jezusowych — to chodząca religia. Najdzielniejsi, najpilniejsi, najgorliwsi w pracy, najmniej wymagający, najlepsi a przy tem najskromniejsi i najszcześliwsi.

W szkole uczyliśmy się, że 1. osoba brzmi: ja, 2. ty, 3. on. U chrześcijan było odwrotnie; najprzód: On, Jezus, potem: ty (bliźni) a na trzeciem miejscu dopiero ja.

A gdzież się też ci jedyni w swoim rodzaju ludzie zgromadzali do wspólnych rozmówień, wymiany myśli, zachęty, modlitwy i nabożeństw? Najprzód w świątyni Jeruzalemskiej; potem w domach prywatnych, a następnie budowali sobie skromne kościoły. Podczas prześladowań zgromadzała się w podziemnych grobowcach, tak zwanych katakombach, na cmentarzach i w głębokich lasach.

A jakóż się poznawali między sobą? Otóż spotkali się na dwaj ludzie, ale nie wiedzieli o tem, że są chrześcijanami. Jeden z nich nieznacznie kreśli łaską na ziemi rybę. Jeżeli ten drugi był chrześcijaninem, natychmiast poznaje w nim współwyznawcę — i cieszą się i rozpławiają o rzeczach wiary. Ten nie wiele znaczący znak wykreślenia ryby stanowił dla chrześcijan środek wzajemnego poznania się. A dlaczego właśnie rybę sobie obrali? »Ryba« tłumaczy się na język grecki: »Ichthys«. Wyraz

»Ichthys« mieści w sobie zgłoski: i, ch, t, hy, s. Te zgłoski stanowią początkujące litery następujących greckich słów: Jezus Christos Theu hyos soter — co się wyklada: »Jezus Chrystus, Boży Syn, Zbawiciel.« Owo zdanie: Jezus, Chrystus, Boży Syn, jest moim zbawicielem, — było pierwszym krótkim wyznaniem ich wiary. Jeżeli więc nakreślił ktoś rybę, to chciał tem samem powiedzieć: ja jestem chrześcianinem. Jezus Chrystus, Boży Syn, jest moim zbawicielem.

Z chwilą religijnej swobody zaginął ten zwyczaj. Chrześciane obracają się śmieie i spokojnie. Zgromadzają się w kościołach. Aż zgłaszają się do kościoła ludzie, którzy dawniej byli żydami i poganami. Rząd był chrześcijański, więc łatwiej było o dobrą posadę, gdy było się chrześcianinem. Kościoły napelniały się nawróconemi tylko powierzchownie. Niejeden zamienił swą szatę pogańską na szatę chrześciańską, ale w istocie pozostał poganinem. Dzielił dalej swe dawne myśli, wyobrażenia, zwyczaje i nawyknienia. Jedni zostali chrześcianami tylko z imienia, inni zaś starali się wiarę chrześcian nagiąć do swych dawnych czyto żydowskich, czy pogańskich wyobrażeń. I w ten sposób pomału, pomału wdziera się do kościoła duch pogańsko-żydowskiej religii. Z biegiem czasu zlewają się trzy potoki w jedną rzekę: potoki żydowskiej, pogańskiej i Jezusowej religii. Łączą się w jedną dużą rzekę kościoła katolickiego. I odtąd życie religijne ma odmienną cechę. Wkrada się religijne czczenie męczenników i świętych. Każdy kraj, każde miasto, każdy stan otrzymuje swojego Orędownika-Patrona. Poczęto się do nich modlić, jak dawniej modlono się do pogańskich bożków. W 9. stuleciu ustanowiono święto (1. listopada) dla wszystkich świętych. Tych świętych namnożyło się tyle, że w każdym wypadku należało modlić się do innego. Gospodzka modliła się do św. Marty, gospodzki zaś do św. Zacheusza. Miałli ktoś ból zębów, wzywał św. Apollonie; rzeźnicy obrali sobie patronem św. Bartolomieja. Chorujący na gardło modły swe ślali przed tron św. Floryana, lub Lorenca. Krótko: w każdej życia chwili, w każdym położeniu można było wezwać jakiegoś świętego. W dyecezyi lyońskiej czczono nawet świętego psa, który za dziecię pana swego walczył i życie utracił. Później mógł tylko sam papież uznać kogoś za świętego. To wpisanie nowego świętego do wykazu kościelnych świętych, nazywa się kanonizacją. Późno coprawda, ale za to tem gorliwiej, w niebiosa podniesiono Maryę, modlono się do niej i urządzono dla niej osobne święta. Różnych tych świętych przedstawiano na obrazach. Kościoły napelniły się obrazami świętych.

Przybytek obrazów nie zmniejszył gorączki, jaką świat chrześciański zapalił się do relikwiiów.

Cóż to są relikwie? Relikwia — jest to łacińskie wyrażenie, a znaczy tyle co: święty zbytek, święta pozostałość. Takich świętych pozostałości, albo lepiej: pozostałości po świętych było bez liku. Były gwoździe z krzyża Jezusowego, tylko tych gwoździ w pojedynczych kościołach, kaplicach i klasztorach było tyle, że musiano myśleć, iż Pana Jezusa conajmniej tyśiąc razy krzyżowano. Były drzazgi z świętego krzyża, były łyży Panny Maryi w flaszach, palec św. Anny, było mleko z osłicy, na której Jezus jechał do Jeruzalemu. W Szafuzie posiadali oddech św. Józefa, który Nikodem pochwyił w swej tękawicze, w Wirtembergii widziano pióro ze skrzydła archanioła Michała. W Halli były części z gorejącego krza na górze Horeb, kawałki z ołtarza, na którym św. Jan czytał mszę dla św. Maryi, kawałek z pola, na którym Adam pokutował; kawałek z pola, z którego Bóg stworzył Adama itd., itd. Za relikwie znacznego świętego można było dostać całe zamki i dobra.

Były też miejsca cudowne, które odwiedzały tłumy pielgrzymów i gdzie zostawiały swe pieniądze.

W szczególności w dzień Bożego Ciała wystawiono całe bogactwo relikwii w pojedynczych kościołach.

Święto Bożego Ciała — czyż ustanowił je Pan Jezus? Też pytanie, prawda! Święto Bożego Ciała zaprowadzone zostało dopiero w roku 1311 i odtąd obchodzono je z największym przepychem. Zabawny ma początek to święto. Zakonnica Juliana w Leodyum widziała w modlitwie podczas pełni płamę na księżycu i uważała to za objawienie, że pomiędzy świętymi brakuje jeszcze święta na cześć cudu Wieczerzy Pańskiej. Papież przyznał słusność i rozkazał zaprowadzenie tego święta.

Było też święto osła! Osła, na którym Jezus wjeżdżał do Jeruzalemu, wprowadzono do kościoła odzianego w białą komżę i witano go odpowiednim śpiewem.

Do takich błazeńskich świąt były potrzebne także błazeńskie kazania. I były takie w istocie rzeczy — pożałuj Boże! w święto wielkanocne. Zamiast o zmartwychwstaniu prawili księża różne bajki a lud odpowiadał śmiechem, co miało oznaczać wielkanocną radość.

Ze wstrętem odwracamy się od takiej religii! Lecz musimy jeszcze przypatrzeć się sposobowi, w jaki odprawiano Wieczerzę Pańską. W pierwszych stuleciach obchodzono Wieczerzę Pańską sposobem przez samego Jezusa ustanowionym. Dopiero w 12. wieku a więc po roku 1100 zaczęto nie podawać kielicha ludowi — rzekomo z obawy, żeby się z krwi Pańskiej co nie wylało. Tylko klerycy pili z kielicha. Odebranie kielicha udowodniano nauką, że gdzie jest ciało, tam też jest i krew. A więc kielich jest niepotrzebny.

Wieczerzę Pańską poczęto uważać za ofiarę. Taką to ofiarę przynosi się Panu Bogu w mszy świętej. Na mocy tej ofiary mszalnej może się Bóg dać ubłagać i przeprowadzić zmarłego, który się w czyściec piecze, na łono Abrahamowe. Te msze za umarłych nazwano mszami zadusznymi. Ale można też było mszę odprawić ku podarzeniu się jakiegoś przedsięwzięcia. Msza miała sprowadzić pogodę, lub czas urodzajny itd.

Nie wiem, jak ma się rzecz z czarnymi mszami. Ale w pojęciu katolika nieświadomionego jeszcze dziś tkwi myśl o owej czarnej mszy. Przychodzi raz do mnie biedny człowieczyzna i prosi, cobym odprawił czarną mszę za złodzieja, który mu skradł buty. A jakóż to mam uczynić? badam. Wiedzą, przewielebniczku, coby mu Pan Bóg kark skreślił, albo coby sobie nogę złamał za to, że mnie okradł.

Oj, porosła dziłkami chwastami winnica Boża, porosła! Procesye, będące w zwyczaju u pogan przy pogrzebach i weselach, przeszły w kościół. Dodano chorągwie, świece i tak zwane litanie, czyli wzywanie świętych, na które lud odpowiadał: ora pro nobis (módl się za nami!)

Lecz dość już! Bo ostatecznie pomyślicie, że chcę wam bajki prawić. A to jednak rzeczywista smutna prawda. Ale i ta mglista noc chrześcijańskiej religii musiała pierzchnąć i skryć się w gąszczach. Już widać brzaski porannej zorzy odświeżonej religii Chrystusa. Z poza chmur wyłania się ewangelia. Jej promieniająca ciepła światłość budzi świat do nowego życia religijnego. A krok w krok towarzyszą jej: postęp, oświata i kultura!

## **Mili wy wszyscy, którzy jesteście współdziedzicami najwyższych dóbr!**

»Królestwo niebieskie gwałt cierpi« tak określił raz Pan Jezus religijny stan swojego czasu. To samo słowo głębokie i doniosłe odzwierciedlało religijność średnich wieków — nawet jeszcze wtedy, kiedy umysły budziły się do nowego życia. Ludzie rozsądni, rozumni, wycuciowo głębszą religijność znajdujący, ludzie, którzy z psalmistą powtórzyć mogli: »Jako jeleni krzyczą do strumienia wód, tak dusza moja woła do ciebie, o Boże!« Pragnie dusza moja do Boga, do Boga żywego, mówiąc: Kiedyż przyjdę, a okażę się przed obliczem Bożem? Jednostki takie bolały nad upadkiem wiary i w ukryciu błagały o zmiłowanie. W ten sposób mocą modlitwy przygotowały

przyjście reformacyi. Pokazała się naprzód tej reformacyi przednia straż.

Piotr Waldus, bogaty kupiec lyoński, kroczy na samem czele. Tento Waldus chcąc się przekonać, czy prawda Chrystusowa tak wygląda, jako ją kościół katolicki przedstawiał, kazał przez znajomych duchownych przetłumaczyć sobie na język romański ku własnemu pouczeniu Nowy Testament. Przejęty jego duchem prawdy, rozdał dobra swe ubogim w jednej części, drugą część użył do zapłacenia kosztów druku za kilka tysięcy egzemplarzy Nowego Testamentu. W krótkim czasie skupiła się około Waldusa znaczna rzesza tak samo myślących przyjaciół. Założyli apostołskie towarzystwo ku opowiadaniu ewangelii w r. 1170.

W dwójkę, bez laski i taistry chodzili oni Waldensi po kraju, we dnie pracując i przy pracy już a osobliwie wieczorem zyskując dusze dla nowego światła religii, dla Jezusa. Napotkali wszędzie wielką ciemność, wielkie nieuctwo. Dlatego poczęli ludzi uczyć sztuki pisania i czytania. W ten sposób szczyli obok nowych religijnych poglądów, także i oświatę.

Uczyli oni, że każdy chrześcjanin ma prawo i obowiązek czytać Biblię i życie swoje do niej stosować. Rzecz jasna, że lud garnał się do tych Waldensów, a wszyscy, co stali przez pewien czas pod ich wpływem, wyrzekali się światowych uciech i utrzymywali wzorową czystość obyczajów.

Powstały kwitnące zbory. Naczelnicy ich nazywali się: Barbami, t. j. wujaszkami.

Waldensów bezprzykładna znajomość Pisma świętego, ich silna wiara i miłość bratnia sprawiły, że mogli mieć wyrozumienie dla późniejszych reformatorów. Z tego powodu też przyłączyli się natychmiast do kościoła ewangelickiego.

A cóż uczynił Rzym z temi szlachetnemi, na wskrós do-bremi Waldensami? Przeciw kościołowi nie występowali, chcieli oni być sola w nim. A jednak Rzym wyklął ich, a wyklętych na sposób pogański prześladował. Ale też nie mogło i nie może być inaczej! Światłość niewybrednemi środkami zwalczaną, być musi!

Waldensowie rozprzyszyli się po całej Europie, a dokąd przyszli, tam się rozwidniło.

Ale i w Anglii się rozwidniło. Jan Wiklif »jutrzeńka reformacyi«, wystąpił w obronie króla przeciw papieżowi wymagajacemu od Anglii wielki podatek. Za to zyskał sobie przychylność całego kraju i króla, który zamianował go profesorem uniwersytetu w Oksfordzie. Później był w Rzymie; co tam widział, to jedynie mógł określić słowem: Lucyperstwo, albo antychrystyzm. Mówił i pisał o tem antychrystyzmie otwarcie. Papież srożył się, ale Wiklif pracował spokojnie. Zakładał re-

ligijne stowarzyszenia ku opowiadaniu Pisma świętego i wysyłał wiernych i gorliwych chrześcian w kraj celem rozszerzania słowa Bożego. Tych to opowiadaczy słowa Bożego nazywamy: Lollhardami.

Wiklif umarł w ustronnem, zacisznem probostwie Lutterworth w roku 1384. Rzym tępił jego przyjaciół, a kości samego Wiklifa kazał papież Marcin V. wygrzebać i spalić r. 1427. Ani umarli nie mieli pokoju w swym grobie! Krew prześladowanych wołała o pomstę. I pomsta stała się, ale w czysto Jezusowym duchu.

Oto w Czechach zmartwychwstał Wiklif w osobie Jana Husa.

Jan Hus urodził się w Husińcu, dnia 6. lipca 1369. Genialny ten człowiek został w roku 1398 powołany do Pragi za profesora uniwersytetu. Musiał się jednak zobowiązać do odprawiania nabożeństw w kościele Betlehemskim w języku czeskim. Hus zgodził się. Studyując Pismo św. znalazł w niem nie tylko pociechę i uspokojenie swej duszy, znalazł też w niem tę wielką przepaść, jaka istniała między rzymskim kościołem a Jezusem. Oświadczył się za prawdą Jezusa i takową też głosił słowem i pismem. To nie było w smak arcybiskupowi Pragi Zbynkowi. Zakazał Husowi mówić kazania, kazał pozbierać pisma Wiklifa i Husa i dnia 15. lipca 1410 palił je w swym pałacu podczas dźwięków wszystkich dzwonów i śpiewu pieśni: Te Deum laudamus — Cię, Boże chwalimy. W następnym roku została ogłoszona klątwa na Husa. Ale lud, nie mogąc ścierpieć, by prawda Boża i Hus gwałt cierpieli, sam chwycił się gwałtu i sponiewierał arcybiskupa na ulicy, a Hus dalej sprawował swój urząd. Wszelako niebawem Hus odwołał się do papieża. Wezwany przez cesarza Zygmunta i jego listem żelaznym opatrzony — ten list gwarantował Husowi zupełne bezpieczeństwo tam i z powrotem — jedzie Hus do Konstancji przed sobór. W prostocie serca, z radością, że przed dostojnikami kościoła będzie mógł dać świadectwo prawdzie, przyjeżdża do Konstancji. Ale tu czekały na niego pazury niedźwiedzie. Wsadzono go do nory w klasztorze mnichów Dominikanów, spięto mu nogi podczas dnia, a w nocy nogi i ręce przykuto łańcuchami do ściany. Za siedm miesięcy zmieniono miejsce aresztu. Przeniesony został do klasztoru Franciszkanów. A na jego miejsce przyszedł — wiecie kto? Na jego miejsce przyszedł — papież Jan XXIII.

A Husa bez dalszego przesłuchania i mimo cesarskiego listu bezpieczeństwa dnia 6. lipca 1415 spalono żywcem. Popioły jego rzucono do rzeki Renu i płynęły sobie te popioły, przybrały po drodze kształt i wypłynęły w Niemczech w postaci dr. Marcina Lutra. I tak spełniły się prorocze słowa Husa.

które miał na stosie powiedzieć: »Teraz palicie gęś, ale za sto lat przyjdzie łabędź, a tego spalić nie zdołacie!«

A za cóż został Hus spalony? Zamordowałże kogo? Spalony został za to, że nawoływał ludzi do poczciwości, do bogobojności pierwszych chrześcian, że nakłaniał ten swój czeski lud, który całem sercem miłował, do zakładania szkół, nie tylko dla magnatów, ale dla dzieci ubogich ludzi. Za to więc, że ujął się za niższemi warstwami czeskiego ludu i za to, że owieczkom chciał ich wełnę zostawić, że rozpałał w swym narodzie miłość do Boga i ojczyzny, za to mu usta zakneblowano i w swem zaślepieniu zastępca Pana Boga pali żywcem swoje dziecię!

Lud czeski w swej większości zawrzał w oburzeniu. Zrzucił rzymskie jarzmo. Zorganizował się. Na czele stanął Jakóbek, który przy wieczerzy Pańskiej przywrócił kielich. Atoli Rzym żądał poddania. Wybuchła wojna husytska, trwająca 16 lat. Na czele husytów stanął teraz jednooki Żyzka. Na górze Tabor zbudował obronne miasto. Wypadał z niego i bił i ciął i palił i mordował bez miłosierdzia rzymskie wojska. Można rozumieć, przyjaciele, ten fanatyzm, ale usprawiedliwić on się nie da. Dobra sprawa, a taką bezsprzecznie była czeska sprawa, dojrzenia powoli mocą wyższej siły wewnętrznej, ale nigdy na podstawie przemocy i gwałtu. Czy też te wojny husytskie były po myśli Husa? Nie mogły być! Albowiem Hus zbyt bardzo był prześlaknięty Jezusowym duchem miłości, by mógł pozwolić na przelew krwi. Hus jako każdy prawy ewangelik jest zasadniczo przeciw wojnie. Ale jeżeli weźmiecie pod uwagę, że i lud czeski jęczał pod chomątem rzymskiej hierarchii i jeżeli dalej zważyć, że niższe warstwy nie miały żadnego kulturalnego wykształcenia i dopiero Hus odsonił im promienne słońce wolności religijnej i narodowej, wtedy nie należy się dziwić, że lud powstawszy niby ze snu i widząc, że mu Ojca-Husa łańcuchami spinają, zrywa się do samoobrony. Nie zna jeszcze onej duchownej obrony, którą przyswoił sobie jego bohater Hus, nie zna jeszcze idei Jezusa i dlatego sięga po broń, która na tym stopniu duchowego rozwoju jest możliwą — broni swych praw orężem. I byłby sobie ten naród wywalczył religijną swobodę, gdyby nie agitacja rzymskich popleczników. Z tego powodu między Husytami przyszło do rozłamu. Tak zwani kalikstyni chcieli się pogodzić z kościołem katolickim, o ile by przyznano im spełnienie następujących żądań: 1. Komunię podług ustanowienia Chrystusa, a więc pod obiema postaciami (po łacinie: *sub utraque specie*, skąd nazwa *utrakwiści*); 2. Kazanie w języku krajowem; 3. Wyrzeczenie się majątków kościelnych przez duchowieństwo; 4. Karność między duchowieństwem.

Te żądania — zresztą chwalebne — spełnił kościół katolicki w Bazylei w r. 1433. Tę ugodę nazywamy bazylejskie-

mi kompaktatami. Kalikstyni, czyli utrakwiści powrócili na zasadzie tej ugody na łono kościoła katolickiego.

Natomiast drugiej części Husytów, Taborytom, ani się nie śniło o pertraktacyi z rzymskim kościołem. Po śmierci Zyzki obierają sobie Taboryci dowódcą Prokopa. A Zyzka umierając prosił, by skórę mu z ciała zdarli i na bębnie rozciągnęli, co by i po śmierci jeszcze wołała do pomsty, do boju. Ale Taboryci zostali pobici pod Czeskim Brodem w roku 1434. Braćta rozprószyła się po Czechach i Morawach, skupia się w małe społeczności i żyje pod nazwą: Morawsko-czescy Bracia. Ci bracia, albo Jednota braci po odniesionej klęsce przetrawia dopiero naukę Husa, przejmując się duchem Biblii i staje się znamienным czynnikiem w narodzie czeskim.

W ostatnim czasie powołują się czescy ewangelicy na tę jedność i nawołują katolicką część do nowo utworzonego kościoła husyckiego, czyli do kościoła czesko-braterskiego. Ma on mieć charakter kościoła czesko-narodowego. My polscy ewangelicy życzymy mu ze serca: »Szczęść Boże!« Ale musimy jednak stanowczo odeprzeć jego zamiar agitowania na pograniczu czesko-polskiem, celem pozyskania nas do swojego kościoła. My jesteśmy tu ewangelikami przeszło 400 lat, odprawiamy nabożeństwa nasze w polskim języku. Burze sromotne przechodziły nad głowami naszymi i mimo to wytrwaliśmy przy sztandarze ewangelii Chrystusowej wiernie, czytaliśmy Pismo święte i modliliśmy się do Boga w polskim języku; przeto skarbem wiary naszej i naszą narodowością nie będziemy handlowali, jak cyganie końmi. Nie! Myśmy tu dziećmi innego ducha.

Ale patrzcie! Znów spada gwiazda z nieba! We Włoszech pod samymi oczyma zastępcy Jezusa występuje Hieronim Sawonarola, olśniewający mówca i fanatyk Jezusa i nawoływa wszystkich — duchownych i świeckich — do zmiany umysłu. Lud garnie się do niego i poczyną urzeczywistniać jego idee o demokratycznym państwie Bożem. Nic innego, tylko pierwszy zbor chrześcijan ma być wskrzeszony. Papież spostrzega, że Sawonarola jest ulubieńcem chrześcijan, dlatego pragnął go pozyskać dla swych celów w ten sposób, że chciał go zrobić wielkim panem, kardynałem! Daremne usiłowania! Bogu służyć chciał, nie magnatowi! Tak obrażony papież zawyrokował następująco: »Ten człowiek musi umrzeć, choćby nawet był Janem Chrzcicielem!« I umarł — a w dodatku haniebną śmiercią! Dnia 23 maja 1498 powieszono go na szubienicy, a następnie spalono go wraz z szubienicą. Tak chciał zastępca Jezusa, tego Jezusa, który powiedział: »Miłujcie nieprzyjaciół wasze; błogosławcie tym, którzy was przeklinają; dobrze czyńcie tym, którzy was mają w nienawiści.....«

Na widok takich męczarni sług Jezusowych nie jeden z wiernych jego sług rozpaczając, wołał: »Panie, zmiłuj się — zmiłuj!«

Ale na takie skargi kapitalistyczna korporacja rzymska nie zważała, zważać nie mogła! Kto jest kapitalistą, tego myśli w innym obracają się kierunku. Ten chce robić interesa — o tem tylko myśli. Jako koza wciąż wokoło swego kulika się obraca, tak myśli materyalisty około tej osi obracają się: Gdzie mogę zrobić dobry interes? Tak było w Rzymie. Nie było tam Piotra, który był swojego czasu powiedział do Szymona: »Pieniądze twoje niech idą z tobą na zginienie!« Nie było Piotra, który inną razą rzekł: »Złota ani srebra nie mam!« Następca jego żył w przepychu, w złoto, srebro, jedwab i bisiory się ubierając. I ciągle nowe miał wydatki, ciągle nowych potrzebował pieniędzy. I cóż robić? Sprzedaje urzędy. Tak kazał sobie za czasów Lutra 10.000 złotych dukatów zapłacić za potwierdzenie biskupa w Koln. Biskup okupiwszy swą posadę tak wysoką sumą, za drugich 10.000 złotych musiał sobie zakupić pallium, to jest kołnierz biskupski. Biskup zmuszony do oddania tylu tysięcy, swoim poddanym znowu ze swej strony nakładał wysokie kontrybucye, nie tylko, by dług zapłacić, ale by mieć gotówkę do prowadzenia wytwornego życia. Ze wszech stron ścigano pieniądze. A kto musiał płacić? Lud w pocie oblicza na swoje skromne wyżywienie pracujący.

Nie dość na tem. Przychodzili handlarze z kartkami odpustowymi nawołując lud do zakupna słowy:

»Skoro pieniądz brzęknie w skrzyni.  
Dusza w niebo skok uczyni.«

A ten kościół miał czelność nazywać się jedynie zbawienym kościołem i palił tych, którzy odważyli się uczyć, że »nie ma w nikim innym zbawienia i nie ma imienia danego ludziom pod niebem, przez które byśmy mogli być zbawieni« — tylko imię Jezusa, przyjaciela ludu.

## Chrystusowy zborze!

W tym roku dziwne zrobiliśmy spostrzeżenie. Tęsknie wyczekiwaliśmy słońca. Na dni kilka wyłoniło swe oblicze z poza ciemnych chmur, by następnie znów się skryć. A jednak zawiła jasna pogoda.

Jakośmy pięknego wyczekiwali czasu, tak też chrześcijanie poważni w czasach średniowiecznych gorąco modlili się, by Bóg zesłał ducha swojego, który by rozgrzał serca do żywej po-

bożności, do nowego ciepłego życia religijnego. Czasem rozpodziło się niebo. Słońce ewangelii świeci w dniu Waldusa, Wiklifa, Husa, Sawonaroli; ale znowu to słońko prawdy Bożej przyćmione zostało. Wszelako nocą prawa Bożego zawitało lato cudowne, wspaniałe — zawitała reformacja.

Reformację przeprowadził Pan Bóg sam. Bóg jednak używa do przeprowadzenia swoich planów osobnych ludzi. Przez nich działa i okazuje swoją wolę. Są oni niby naprzędziem w jego rękę. A takim narzędziem w rękę Wszechwładnego był

**Dr. Marcin Luther.**

Lecz jako każde narzędzie najprzód przysposobić musimy do użytku, tak też wszechmądry Bóg wykształcił, przysposobił sobie Dra. Marcina Lutra do swojego wielkiego dzieła.

Dnia 10. listopada 1483 dał Bóg bogobojnym w miasteczku Eisleben w Niemczech zamieszkałym rodzicom Janowi i Małgorzacie Lutrom zdrowe dziecko. Dziecię to ochrzczono zaraz następnego dnia i dano mu na imię Marcin.

Kiedy chłopię miało sześć miesięcy, przesiedlili się rodzice z Eisleben do pobliskiego masta Mansfeld, gdzie było można więcej zarobić. Tu w chłodzie i słońcu, w upale i skwarze słonecznym pracował Jan Luter i jego małżonka Małgorzata. Przez taką pracę mozolną dopiął ojciec Lutra niejednego zaszczytu; wybrano go radnym, czczono i szanowano go ogólnie. Przy tym pozostał zawsze bogobojnym i dbał o karność i porządek. Tak też wychował swoje dzieci, a matka nieraz w noc modliła się nad łóżem Marcina. Tego Marcin nigdy nie zapominał. Sam później wyznaje: »Rodzicom zawdzięczam wszystko, czem jestem« — i powiada dalej: »Małżonkowie mają wiedzieć, że nie oddają lepszej usługi Bogu, chrześcijaństwu i całemu światu, samym sobie i dzieciom nad tę, że dzieci swoje w karności i napominaniu wychowują. Nad dobre wychowanie dzieci nie ma nic wyższego; to jest nabożeństwo najlepsze i droga, prowadząca wprost do Boga. Gdyby rodzice dzieci swoje dobrze wychowywali, wtenczas dom ich byłby kościołem, ba, nawet rajem.«

Wcześniej musiał pójść Marcin do szkoły. A ponieważ szkoła znajdowała się na drugim końcu miasta, więc ojciec często naładował Marcina na swe barki i zaniósł go do szkoły.

W szkole uczył się czytać i pisać, uczył się dziesięciorną przysłów, wyznania wiary i trochę łaciny. Na ów czas jednak szkolnictwo nie było tak rozwinięte, jako dzisiaj. Nauczycielami byli wysłużeni żołnierze, a ci też istnie po wojskowemu porzyczali sobie w szkole. Nic dziwnego, że w szkole laska i kij panowały. Ze strachem i drzeniem przychodziły dzieci do szkoły, a nauczyciel Lutra również należał do takich wychowawców. W przeciągu półdnia — opowiada Luter — dostałem raz

15 razy kijem, że nie wiedziałem, czego mnie nie uczono». Strwożoną chłopię przyszedłszy do domu nie śmiało się pożalić, bo ręce rodziców, twarde od pracy, nie zbyt delikatnie dotykały się dzieci. Szczerze wyznaje to Marcin, mówiąc: »Rodzice moi trzymali mię zbyt ostro. Ojciec zbił mię raz tak, zem uciekł. Matka zaś zbiła mię raz dlatego, że jej mały orzech wziął, bez pozwolenia. To nie było dobrze. Przy wszelkiej ostrości i karności musi się karać tak, aby przy kiju leżało jabłko, t. zn. by ostrość szła w parze z miłością. Ale — dodaje Luter — rodzice moi chcieli tylko to najlepsze».

Takie wychowanie zgubne miało następstwa. Chłopak iękał się ludzi jak spłoszone ptaszę, bał się i drżył przed Bogiem, powiadając sobie: »Jeżeli już rodzice i nauczyciele są tak ostrymi, jakim dopiero musi być niebieski sędzia? Gdy wymawiałem imię Chrystusa — mówi — wtenczas truchlałem i błądłem.«

Do takiej bojaźni przyczyniły się jeszcze opowiadania matki o utopcach i czarownicach.

Wesołości i pogody młodocianej Marcin mało zażył, od młodych lat zajmował się pytaniem: »Jak znajdę sprawiedliwego Boga?»

W szkole jednak bardzo był pilny i robił dobre postępy. Dlatego wysłali go rodzice do słynnej szkoły w Magdeburgu. Tu mówiono mu, że musi dobrymi uczynkami przebłagać Boga i wskazywano mu na księcia z kraju Anhalt. Tento książę hoso chodził przez ulice miasta, niosząc miech na plecach, pod którym niemal aż do ziemi się ugiął. Jak trup wyglądał — — — skóra a kości! Kto go ujrzał, ten wstydził się sam za siebie. Luter już tu w Magdeburgu licząc 14 lat, katował się, nie jadł, najpodlejsze wykonywał rzeczy, by ostać się przed Bogiem. W dodatku musiał sobie sam zarabiać na chleb powszedni — aż żał, patrząc na wynędzniałego Marcina. To też rodzice wysłali go na dalsze studia do Eisenachu, gdzie żyli zamożni krewni matki. Spodziewali się, że ujmą się za chłopcem i wesprzą go. Darenne nadzieje! Chłopiec według ówczesnego zwyczaju musiał sobie zarabiać na kawałek chleba w ten sposób, że śpiewał ze swymi współuczniami, tak biednymi jako on, przed domami bogatych ludzi.

Gdźieniegdzie otrzymali kawałeczek chleba, ale często odparto ich łajaniem i kijem.

Wielkie szczęście spotkało naszego Marcina w tej części miasta, gdzie mieszkała szlachcianka, imieniem Urszula Kotta. Tejto bogobojnej niewieście podobał się srebrny, dźwięczny i miły głos Marcina i zaprosiła go do siebie. Dobry Pan Bóg zrządził tak, że przyjął go w swój dom, dała mu własny pokój i utrzymanie za darmo. Za to Luter zobowiązał się uczyć jej

dzieci. Dopiero teraz odetchnął młody student, nabrał otuchy, przyszedł do siebie. W szkole celował, zawsze był pierwszym. Współuczniowie z zazdrością, ale też i z dumą patrzali na niego. W gramatyce i łacinie robił tak znaczne postępy, że sam pisywał wiersze w łacińskim języku. A do tych wierszy układał melodye. Nikt nie uczył go muzyki, sam ze siebie nauczył się gry na lutni, na której istnie po mistrzowsku grał. Muzyka ta sprawiała mu niejedną szczęśliwą chwilę. Czując się przygnębionym, wziął swoją lutnię i uderzał w struny jej, aż znikły smutki i żale. Jak król Dawid, tak nasz Luter wlał w śpiew i muzykę wszystko, co jego serce poruszało. »Kto śpiewa, ten żadną miarą nie może być złym człowiekiem« — powiada jedno słowo. I rzeczywiście: śpiew uszlachetnia, budzi w duszy niebieskie uczucia, porywa w górę, uszczęśliwia i zachęca do wielkich czynów. Śpiew — to coś niebiańskiego, coś anielskiego. Popatrzmy na tych ptasząt niezliczone rzesze, co w maju tak cudownie i rozkosznie sobie nucą — czyż serce ludzkie miałoby stanowić jedyny pęknięty instrument w tej wielkiej orkiestrze nieba i ziemi?

Nasz Luter już w młodych latach chwalił Pana śpiewając mu i grając. A starszym będąc stwarzał nowe, potężne pieśni i chóry, a do tych mocnych pieśni dorabiał też i melodye. Jemu to mamy do zowdzięczenia, że posiadamy nasz ewangelicki kancjonał. Jego pieśni do dziś dnia śpiewamy; te pieśni, które oprócz Biblii stanowiły jedyny pokarm duchowy dla naszych przodków w czasach ich niedoli i prześladowań. Te nasze pieśni religijne, pochodzące z pióra Lutra, Trzanowskiego, Kochanowskiego i innych, dziś jeszcze zapalają w nas ogień czystej wiary Jezusowej. Dlatego kościół rzymski niczego innego tak się nie boi, jako pieśni ewangelickich. Pewien jezuita powiedział następujące zdanie: »Luter pieśniami swemi zamordował i stracił w otchłań piekielną więcej dusz, niż wszystkimi swemi kazaniami«. O tak, kto śpiewa, ten musi być dobrym i szczęśliwym! Więc śpiewajmy Bogu pieśni, aż zamkną się nasze usta i aż znowu otworzą się w niebieskich włościach, gdzie hymny wspaniałe i harfy aniołów nas powitają, gdzie śpiew i muzyka, piękniejsza od organ nas otoczy!

Śpiewem uprzyjemniał i upiękniał sobie lata życia swojego, lata swych studyów. A ponieważ śpiewał i modlił się, więc mu też rączy szła praca. Ukończył szkołę łacińską i udał się podług życzenia ojca na wszechnicę do miasta Erfurtu. Ojciec chciał, by syn uczył się prawa, t. zn. by stał się adwokatem, lub sędzią. Z ochotnem sercem zabrał się Marcin do pracy i robił takie postępy, że już w roku 1505. uzyskał sobie akademieczną godność magistra — według dzisiejszego stanu rzeczy stał się doktorem. Jakżeż on biedny syn chłopca i górnika mógł wyjednać

sobie takie stanowisko, jakiego nie mogli dopiąć synowie książąt i hrabiów? Osobista dzielność, śpiew i modlitwa, te to sprawiły. Bóg sam kierował nim, a Luter później wyznaje: »Kto pilnie się modli, ten tem samem wykonał już więcej niż połowę pracy.«

Ojciec cieszył się, że syna swojego niebawem ujrzy na poczesnem stanowisku świeckiem. Ale człowiek myśli a Pan Bóg rządzi; człowiek strzela a Pan Bóg kule nosi. Dostojeństwa świata miały czekać naszego Lutra, ale tymczasem go Bóg wziął w dalszą jeszcze szkołę.

W tym czasie właśnie, w którym Luter kończył swe wysokie nauki, zmarła w Rzymie głowa kościoła — papież Aleksander VI. z powodu tej samej trucizny, którą chciał zamordować pewnego kardynała. Jak we wszystkich krajach, tak i w Niemczech rosło szukanie i tęsknienie za prawdą Bożą.

Widzieliśmy, jak Luter ciągle i ciągle zajmował się religijnemi pytaniami. Mając 20 lat, znalazł w bibliotece uniwersytetu łacińską Biblię; pierwszą, którą w życiu ujrzał. Aż do tej chwili był zdania, że ewangelie i lekcye przy nabożeństwie przeczytane, tworzą całe Pismo św., bo papież zakazał czytania Biblii. Bida człowiekowi temu, kto by odważył się czytać Biblię! Piorun kłatwy straciłby takiego w otchłanie piekielne! Trzeba też wziąć pod uwagę, że sztukę drukarską ledwie co wynaleziono; z tego powodu na on czas kosztowała mniej — więcej 1000 złotych.

Luter otworzywszy Pismo św. czytał i czytał, oderwać się od niej nie mogąc. I w miarę, jak wgłębiał się w jej treść, niepokoił się na myśl, jak ostoi się przed czystym Bogiem. Zwiększyła się bojaźń przed świętym Bogiem, którego się już od młodych swych lat tak bardzo lękał. Widział Jezusa, jako groźnego sędziego, siedzącego na tęczy. Rozpacz go czasem ogarniała, jak to wynika z jego zdania: »W tem życiu nie ma większej nędzy i biedy nad ból i bojaźń serca, które widzi się opuszczonem i nie wie, do kogo udać się po radę lub pociechę.

Nasz Luter chciał postępować jak najściślej według zakonu, a im ściślej postępował, tem więcej odnalazł wymagań, przepisów. O usprawiedliwieniu z łaski wtenczas jeszcze nic nie wiedział. Usiłował rzetelnie i szczerze żyć po Bożemu, ale widział, że nie może. Widział, że go zakon przygniatał, jak gdyby go ciężar wielki przygniatał do ziemi. A on jak ptak, co ma złamane skrzydła, ciągle na nowo porywał się, by zadosyć uczynić sprawiedliwości Bożej. Takie walki wewnętrzne były ponad jego siły. Zachorował ciężko. Przyszedszy do zdrowia, poszedł z przyjacielem swoim Aleksem do rodziców. Gdy byli w lesie, zerwała się nagle burza. Niebo pokryło się czarnemi obłokami, błyskawice rozdzierały ciemność, a piorun za pio-

runem uderzał, I ledwie się Luter spostrzegł, leżał nieprzytomny na ziemi. Struchlał, i w wielkiej swej trwodze i przerażeniu klęka na kolana, modląc się: »Pomóż mi św. Anno, chcę zostać mnichem!«

I przywdział na siebie szatę mnicha. »Poszedłem do klasztoru — opowiada — bom zwątpił o samym sobie. Pod zakonem wychowywano mię; nie powiedziano mi nigdy, że Jezus wybawił nas od przekleństwa zakonu. Wstąpiłem do klasztoru, bom był przekonania, że taki krok zyska mi łaskę przed Bogiem«.

Ojciec Marcina nigdy nie chciał synowi przebaczyć tego kroku. Dopiero, gdy Marcina został profesorem, pogodził się z nim.

Lecz spoglądnijmy na młodego mnicha w celi klasztornej! Z wszelką sumiennością wykonywuje wszystkie rozkazy przełożonego i przepisy klasztoru. A drudzy mnisi dali mu do zrozumienia, że w oczach ich mądrość jego nic nieznaczy. Najniższe posługi musiał pełnić, lecz nie był wybrednym. On, doktor mądrości, musiał zegar na wieży naciągać, myć korytarze i wymiatać i czyścić miejsca nieczyste. Kiedy z tą robotą był gotów, posłano go z miechem przez ulice miasta, by zebrał dla klasztoru.

Na prośbę otrzymał do rąk łacińską Biblię, ale gdy czytał w niej, rozmyślał i modlił się, wnet przyszli klasztorni bracia, łajac: »Zebraniem, nie czytaniem trzeba służyć klasztorowi«. Wszystkie takie docinki znaszał nasz Luter cierpliwie. W szczerzej skrusze co siedm dni szedł do spowiedzi. Biczował się, nie jadł, nie pił. »Prawdą jest — opowiada później — że byłem bogobojnym mnichem i że ściśle trzymałem się przepisów klasztoru. Jeżeli który z mnichów dostał się do nieba wskutek swego mnistwa, wtedy ja byłbym pierwszym z takich«.

A jednak Luter nie mógł znaleźć spokoju duszy. Zwierzył się swemu przełożonemu, Drowi Staupitz. A ten rozumny i rozsądny ksiądz zapytał się go, czy umie trzeci artykuł wiary. Zdumiony Luter patrzy na Staupitza a ten nalega: »Powiedz mi trzeci artykuł! Luter mówi z wolna: »Wierzę w Ducha św., św. kościół chrześcijański, świętych obcowanie, grzechów odpuszczenie« — — »Dosyć!« — przerywa Staupitz. »Wierzyszże ty Marcinie w grzechów odpuszczenie? Wierz silnie i mocno w odpuszczenie grzechów a znajdziesz pokój duszy«. Wiedział już Luter od tej chwili, że człowiek nie z uczynków, ale z wiary żyć będzie. Wiedział już, że nie kościół zbawić może, ale tylko sam Bóg. Wiedział, że nie powierzchownie zmlete modlitwy mają wartość, ale że wartość — a to nieocenioną — ma modlitwa w komórcę, gdzie człowiek sam na sam rozmawia z Bogiem, jakby z serdecznym przyjacielem.

Dlatego rozumiemy jego oburzenie, gdy w okolicy Wittenbergi — i wogóle w całym chrześcijańskim świecie, sprzedawano grzechów odpuszczenie za pieniądze. Tecel zachwalał swą wymownością tę wielką łaskę zastępcy Jezusa. Ludzie w zaślepieniu swem garmeli się do niego, by kupić sobie taki odpust. W domu nie było co jeść, ale pieniądze na odpust znalazły się. Sprzedawano odpusty za grzechy już popełnione, ale można było kupić sobie odpust za grzechy, które zamyślano w przyszłości dopiero zrobić. To miało zgubne następstwa. Niejeden ukradł pieniądze, za które nazajutrz nabył sobie kartę odpustową. Złodziejstwo, morderstwo, podpalanie, obraza czci, popełnianie gwałtów — wszystkie te grzechy grube i mniej grube otrzymywały przebaczenie według niższej lub wyższej taksy.

Luter przeciwko takiemu bezwstydnemu handlowaniu i przekręceniu prawdy Jezusowej napisał 95 zdań i przybił je 31. października 1517 r. na drzwi zamkowego kościoła w Wittenbergu

Jakaż też treść tych zdań?

1. teza brzmi: »Jeżeli Pan i Mistrz nasz Jezus Chrystus mówi: Pokutujcie! wtedy chce, by całe życie wierzących na ziemi było jedną ciągłą pokutą.
2. teza brzmi: Szatan ma pociechę z tych, którzy powiadają, że przez odpust dostąpią zbawienia.
76. teza brzmi: Twierdzimy, że odpust papieża ani najmniejszego grzechu nie może zmyć.
94. teza brzmi: Chrześcian ma się uczyć, by szli śladami Jezusa Chrystusa».

W czternastu dniach rozniósł się wieść o owych zdaniach po całych Niemczech, a w przeciągu miesiąca całej Europie były znane. Ci, co jeszcze umieli myśleć, byli za, inni przeciw.

A cóż też papież powiedział?

Po przeczytaniu odezwał się: »Elegantissime latine scripsit« — w arcywspaniałej łacinie to napisał. Wyrażenie to świadczy o jego bezinteresowności dla spraw kościelnych. Ale kardynałowie żądali, by Lutra za jego zuchwałość ukarano. Papież zrazu łagodził umysły słowy: »Ależ dajcie spokój; dwaj zakonnicy pokłócili się, poczekajcie, po czasie znów się pogodzą.

Wszelako później rzucił bullę kłętwy na Lutra. Tego ostatniego zapytali się przyjaciele, czy się nie boi wyklęcia i stosu płomienistego. Ale Luter odrzekł: »Jeżeli mnie gwałtem lub podstępem uśmiercą, wtenczas skrócą mi życie o dwie albo trzy godziny. Cóż mi to szkodzi? Mam zbawiciela, a to mi wystarczy«.

Ale rzymska potęga za słaba już była, by porwać się na życie Lutra.

Znaną wam rzeczą, moi przyjaciele, jak to po soborze w Wormacyi usiłowano sprzątnąć naszego reformatora ze świata. Tymczasem duch prawdy, oświaty i kultury silniejszy już był od wstecznego ducha rzymskiej hierarchii. I dlatego w spokoju organizuje Luter ewangelicki kościół na zasadzie Pisma św. Lud otrzymuje przynależne mu prawa. Kościół ewangelicki staje się kościołem demokratycznym.

Powstają szkoły, do których uczęszczają starzy i młodzi mężczyźni i kobiety, chłopcy i dziewczyny.

Wolność, równość i braterstwo siadają na tronie ludzkości. Cały świat pełen jest kwieciami i woni. Wzrasta siłą postęp i dobrobyt.

Ewangelia szerzy się z zadziwiającą prędkością w rozległym świecie. Słowo Boże staje się fundamentalną podstawą życia rodzinnego i społecznego.

Tymczasem ciemne moce, nie mogące znieść takiego blasku słońca biblijnego, zbroją się do przeciwdziałania, do przeciwreformacyi. Ale ta nowe ewangeliczne społeczeństwo ubrane w pancerz głębokiej wiary nie boi się. Temu przekonaniu religijnego bohaterstwa daje wyraz słowy:

»Choćby świat był djabłów pełny.  
Pragnących nas pochłonać,  
Odpór damy im rzetelny  
Strach nas nie ma ozianąć!  
Chcąli życie wziąć,  
Żonę, dzieci iąć.  
Część, mjętności,  
Niech biorą w swej złości —  
Nam królestwo zostanie!«

## Kochani !

Nim podam wam pogląd rozwoju ewangelicznej reformacyi w pojedynczych krajach i jej zwalczania, chcę najprzód jeszcze wskazać na dwóch pionierów Bożych — na Zwinglego i Kalwina.

Ulrych Zwingli urodził się w Szwajcaryi, dnia 1. stycznia roku 1484. Będąc księdzem w Maria-Einsiedeln, dokąd rocznie tysiące chrześcian pielgrzymowało celem ubóstwiania obrazu matki boskiej, głosił, iż Bogu można się o wiele lepiej podobać, gdy wykonywa się pracę w domu sumiennie i gorliwie; głosił, że pielgrzymowanie jest darybactwem i kradzieżą czasu.

1. stycznia 1519 objął posadę proboszcza w Zurychu. I tu szerzył czystą biblijną prawdę. Wystąpił przeciw Samsonowi, który frymarczył kartkami odpustowymi. Uczył, że jedynie Chrystus jest drogą do zbawienia i że też tylko Bóg grzechy odpuszcza. Żyj i postępuj podług myśli Zbawiciela a będziesz zbawiony bez kartki odpustowej!

Rada miasta Zurycha pod wpływem nauki Zwinglego poleciła, by wszędzie odprawiano nabożeństwa w duchu Pisma św. Wszystkie obrazy, posągów świętych, relikwie oddalono z kościołów. Zwingli posunął się nawet tak daleko, że zabronił dzwonienia i gry na organach.

Szybko kroczyła reformacja naprzód. Prawie połowa Szwajcarii ją przyjęła. W pewnem mieście wynieśli młodzieńcy posągów świętych na rynek i twarzą obracając je w pojedyncze strony świata rzekli: »Panu Bogu ten jest święty, kto pracuje. Rozejdźcie się i obierzcie sobie odpowiednie zatrudnienie!« Ale święci — ani rusz. Więc młodzieńcy z kijami na tych bałwochwalczych leniuchów.

Gdzieniedzie wynieśli chrześcijanie obrazy, relikwie i tem podobne rzeczy z kościołów na rynek, zrobili z nich stos i zapalili je.

Tymczasem ścigały katolickie części wojska. Ewangelicy nie byli przygotowani i dlatego też zostali w pień wycięci w bitwie pod Kappel, dnia 11. października 1531 roku. Zwingli towarzyszący naprędce zebranemu wojsku, padł. Ciało jego rozsiekano, spalono a proch rozwiano na wszystkie strony świata.

Dzieło Zwinglego prowadził dalej Jan Kalwin, człowiek żelaznej woli i nieugiętego charakteru. Można by powiedzieć o nim, że był fanatykiem prawdy Bożej. Nie cierpiał najmniejszej nieczystości, nie cierpiał nawet młodzieńczej wesołości. Biada temu, ktoby był czas w gospodzie marnował! Biada temu, ktoby był w karty grał! Jako starotestamentowy prorok stoi przed nami nieubłagany, ostry.

Mimo, że postać Kalwina nie odpowiada nam zupełnie, to jednak stwierdzić musimy, iż nic nie czynił dla siebie, wszystko dla chwały Bożej. Chciał złość i grzech usunąć ze świata, a zabrał się do tego radykalnie; nie przebierał w środkach.

I dlatego podziwiamy tę skałę w morzu świata i dobrze byłoby, gdybyśmy na tej skale czystej obyczajowości stali.

Wszelako nauki Kalwina o tak zwanej predestynacji — o przeznaczeniu z góry — dzielić nie możemy. Owa nauka o predestynacji opiewa, że każdy żyjący jest z góry przeznaczony albo do zbawienia, albo do potępienia. Ale Bóg chce, aby każdy, kto w Jezusa wierzy, nie zginął, ale miał żywot wieczny.

Nie robimy z Kalwina świętego, ale chwałę Panu dać musimy, że sługę swego mógł użyć do rozszerzenia swojego królestwa sprawiedliwości.

Bo też ono królestwo niebieskie rozszerzało się; o rozszerzało! Potężne fale reformacyi zalały całą Europę. Tak mocno i tak ogólnie odczuwano potrzebę odnowienia stosunków kościelnych, że otwartemu rękoma witano wszędzie reformację. Wprawdzie stawiano jej zapory w drogę, a jednak dotarła aż do najbardziej ustronnych miejsc. I gdyby nie przeciwstawiono jej hagnetów, więzień, tortur i inkwizycyi, nie libyśmy dziś inny ustrój świata.

Ale kościół rzymski chwycił się właściwych sobie środków do tępienia ewangelii. A jako niegdyś Jezus od swoich został na krzyż przypięty, tak teraz jego zastępca Jezusowe dzieci krzyżuje, morduje, niszczy i tępi.

Przypatrzmy się trochę bliżej owemu dziełu niszczenia, przypatrzmy się

#### inkwizycyi!

Zaprowadzenie biskupiej inkwizycyi zostało uchwalone na soborze w mieście Toulouse 1229 r. Najgłówniejsze rozporządzenia brzmiały: 1. Biskupi winni w pojedynczych probostwach ustanowić jednego kapłana i paru laików, których obowiązkiem jest wynajdywanie kacerzy (ewangelików). 2. Świeccy panowie są zobowiązani do zburzenia mieszkań kacerzy. 3. Ktoby kacerzy w swoim domu ukrywał, ten to swoje domostwo utraci. 4. Domy zamieszkałe przez kacerzy, mają być obrócone w perzynie. 5. Kto wyprze się kacerstwa, ma nosić dwa barwne krzyże. 6. Każdy mężczyzna od 12. roku, każda niewiasta od 14 r. są zmuszeni do wyspiegowania kacerzy i do podania tychże komisji.

Sądy inkwizytorskie uważano za święte, ba, najświętsze. Świecka zwierzchność musiała pod karą klątwy i śmierci spełniać rozkazy tej najświętszej komisji.

Pewien Francuz, który dwa lata przesiedział w więzieniu inkwizytorskiem, opisuje owo więzienie następująco: Areszt składa się z dwóch cel. W dole ułożono mężczyzn, w górze kobiety. Każda cela jest pięć metrów długa, dwa metry szeroka. W takiej norze było nas 40 mężczyzn. Wychodzić nie było wolno. (O reszcie nie chcę mówić.)

Znany Molinier pisze: Każde słowo jest tylko ledwie do słyszalnego echem w porównaniu do rzeczywistości w takiej norze. Nie wiem, co było najsroższą karą — czy śmierć, czy owo aresztowanie? Powoli dusili się ludzie bez powietrza, bez światła, przykuci łańcuchami do ściany. A taki dom nosił napis: »Casa santa« — święty dom.

Jeżeli dostał się n. p. ojciec do takiego świętego domu, wtedy zabrano mu cały majątek. Dzieci nie otrzymały ani halerza, bo — rozkazuje papież Innocenty 3. — Dzieci nie śmiał miłosierdzia dostąpić, dlatego, że muszą cierpieć za grzechy rodziców.

Ci ojcowie i wogóle każdy kacerz, który nie wyparł się swej wiary, został zazwyczaj najprzód uduszony a potem spalony. Ażeby jeszcze w chwili śmierci nie mdolił się, włożono mu knebel do ust. Palono zaś tych szlachetnych skazańców w wielkie święta, żeby inni widzieli ich męki i bóle i »uczyli się trwać przy wierze katolickiej.«

Lecz warto towarzyszyć ewangelikowi do więzienia inkwizytorskiego. Podręcznik Franciszkanów z 16. stulecia pisze o inkwizytorskich sądach: »W izbie, w której znajdują się narzędzia, służące torturze, powinien oskarżony złożyć przysięgę, że powie prawdę. Następnie duchowny ojciec każe go rozebrać i związać powrozami. Żołnierze muszą go następnie tak związanego i nagiego na powrozach w górę ciągnąć. Jeżeli to nic nie pomoże, wtedy naciągają się go na ławę. Bose nogi napuści się smalcem i wkłada do ognia. Jeżeli oskarżony krzyczy, pyta się go duchowny ojciec, czy wyrzeka się kacerstwa. Jeżeli nie, wkłada mu się na nogi żelazne buty, które się ściśnają śrubami.

Omdlałli skazaniec, oblewano go wodą i palono pod nosem siarkę. I znowu go torturowano.

Środkami, jakie tylko piekielną brutalność wynaleźć mogła, męczono i dręczono ewangelików. Jeżeli umarł gdzie jakiego ewangelika, po śmierci dowiedział się rzymski kościół, że ksiądz katolicki pogrzebał go, wtedy ów ksiądz trupa własnymi rękoma musiał z grobu wydostać i następnie spalić.

Tak postępował zastępca Pana Jezusa. Miliony najoświęceńszych, najdzielniejszych i najlepszych zginęło pod toporem szatańskiej ręki. W każdym kraju, w każdym mieście czuwali grubobrzusznymi mnisi z komisji inkwizytorskiej, dobrze jedząc i pijąc na koszt ubogiej ludności, czuwali nad czystą prawdziwą religią katolicką. A ponieważ cała Europa takiego rodzaju panami zalana była, więc było można wyznawać święte wyznanie wiary: »Wierzę w jeden święty kościół katolicki.«

Tymczasem owa inkwizycja prześladowała nie tylko ewangelików. Stare niewiasty i starzy mężczyźni pełni zmarszczek uważani byli za czarownice i czarowników. A podług nauki kościoła katolickiego tego pokroju ludzie stali w związku z dyabłem, dlatego miecz rzymskiego kata i w nich się obracał.

Przed torturowaniem obnażono takiego biedaka zupełnie, ogolono go, obcięto paznokcie, bo mógłby poza nimi siedzieć szatan. Później rozpoczęła się ohydna straszna tortura. Torturę musiano użyć, bo inaczej dyabeł by się śmiał.

»Po owocach poznacie ich; dobre drzewo nie może przynosić złych owoców« — powiada Chrystus. Mogłoby drzewo papieżstwa, gdyby było »dobre«, t. j. »Boskie« wydać takie przekłete, krwią przesiąknięte owoce?

W imię Boga działają się tego rodzaju sprawy — czyż dziwić się należy, że jeszcze nawet dziś światło głowy tak samo, jako i mniej światło, odwracają się od takiego chrześcijaństwa, od takiej wiary, od takiego Boga? Zohydzone zostało imię Boga; Boga zdegradowano na stopień mściwego, złośliwego bożka. Słusznie człowiek postępujący, wykształcony nie chce mieć nic do czynienia z podobnym Bogiem.

Atoli jakóż inaczej przedstawia się nam Bóg objawiony w Biblii i objawiający nam się w cichych błogich chwilach prawdziwej modlitwy. On nie chce naszej zguby; on wie, żeśmy ułomni i słabi, a jednak bezgraniczną swą miłością ciągnie nas do siebie. Im bardziej żyliśmy z nim, tem szczęśliwsi jesteśmy, tem dzielniej też możemy pracować dla dobra ogółu. Człowiek stojący do Boga w ścisłym stosunku, poświęca czas swój pracy nad samym sobą i nad polepszeniem materialnego i moralnego bytu ludzi. Prawdziwy chrześcian usiłuje odgadnąć myśl Boga i w ten sposób przez ciągłe takie obcowanie z ową najlepszą i najmądrszą istotą, staje się sam lepszy i mądrzy — i stara się, by innych pociągnąć na ten sam stopień etycznego i kulturalnego poziomu. Śmiało rzec można, że nowy ustrój świata, nowy stan rzeczy w tedy nadejdzie, gdy będzie więcej tych, których z Bogiem łączyć będzie ścisła przyjaźń.

Tego dzieła nie dokona kościół katolicki, bo dokonać nie jest w stanie. Tego dzieła dokona lud, gdy mu szlachetni odsłonią idealną postać Jezusa, który jest drogą do osobistego, społecznego i narodowego, do ziemskiego i wiecznego prawdziwego szczęścia. Mało było dotąd tych, którzyby lud nasz wychowywali w kierunku prawdziwie dobrym, to dobre w nim rozwijali i kształcili; bo dobre nie jest to, z czem przyjemniej i wygodniej, ale to, co ulepsz. Wszelako dobrym nie staje się człek na rozkaz, musi być do tego pobudzany, zachęcany, wychowany. Musi widzieć ideał dobrego a następnie osobście do być wszystkich sił swej woli, by mógł się zbliżyć do niego. A któż jest tym ideałem, jak magnes przyciągającym nas do siebie? Jest nim — Jezus. Ten sam wzmacnia i zasila naszą wolę, gdy raz postanowiliśmy sobie: Chceć być dobrym!

A kto ma ludowi wskazać drogę prowadzącą do szczęścia? Krótka na to odpowiedź: jego wychowawcy. Nauczyciele w szkole, księża w kościele, przywódcy na zgromadzeniach a prasa w domach.

Kto lud swój kocha, rzeczywiście kocha, będzie się starał nie jedynie o poprawienie jego doli, ale nigdy nie spuści

z oczu swego wychowawczego zadania, że ma go prowadzić do poznania dobrego, że ma wykuwać jego charakter.

O drodzy przyjaciele, my wszyscy mamy ten wielki obowiązek, by pracować nad samym sobą, i nad innymi w kierunku dobrego. Umysł przekształcająca siła Jezusowego ducha niech wzmacnia nas w spełnianiu tego obowiązku!

Prawda, bracia; prawda, siostry, — ilu nas tu jest — wszyscy chcemy być istotnie dobrymi i innych dobrymi uczynić. Dlatego:

»Działaj! bo noc nadejdzie,  
Południe zbliża się!  
Poświęć swe wszystkie siły  
Temu, co uszczęśliwił cię!  
Bożą drużynę działaj  
Wśród tego światła burz!  
Działaj, gdy noc zapadnie —  
Za późno będzie już!

## Zacni przyjaciele myśli!

Inkwizycja tłumiła rozwój prawdy Bożej, rozwój reformacji tak, że nie można się dość nadziwić, w jaki sposób jednak znalazły się te miliony skupiające się około Pisma św. Ale już to Bóg sam przyznawał się do tych wiernych i szlachetnych; a co Bożego, to wyniszczonem być nie może.

Naj znanem miejscu w Orłowej widzieliśmy wychodzące z ziemi gazy, które połączywszy się z powietrzem, zapaliły się i słupami wysokimi buchały w górę. Właściciel owego miejsca chcąc gazy stłumić, zacementował je. Ale za parę godzin pojawiły się znowu.

Tak też inkwizycja chciała zacementować prawdę Bożą, ale ta mocą prawa Bożego ciągle i ciągle coraz nowe serca zapalała.

Jakóż powodziło się jej w pojedynczych krajach?

We Francji pracują ewangelicy gorliwie nad rozszerzeniem reformacji. Stosy płomienne i szubienice stawają się im w udziale. A jednak wybierają tę męczeńską śmierć nad powrót do kościoła katolickiego, wrogiego Jezusowi. Szydlerzo nazywano ich »Hugenotami«. »Hugenoci ci zakładają szkoły i oddają Francji wielkie usługi. A rząd każe ich — mordować. W noc Bartłomieja — 24. sierpnia 1572 roku — uderzono na ewangelików-hugenotów ze wszech stron i nie szczędząc ni dzieci, ni starców, żołnierze prowadzeni przez katolickich księży, zarzynają ich. W wielkim przestraszu ewangelicy uciekają do swego kościoła; ale i tu wdzierają się dzicy roznamietnieni krwiożerczy jezuiti. Krew się leje, trup się sieje. Po kostki

brończąc w krwi, wychodzą z mordowni z szatańskim uśmiechem na twarzy — a wszystkie dzwony dzwonią, w głównym kościele odprawia się mszę, a mordercy śpiewają „ Ciebie, Boże chwalimy! « — żeś pozwolił nam tę horde ewangelicką wyniszczyć.

O, bo też wyniszczono w oną noc aż 80.000 dusz. A w Rzymie odprawiano z radości świetne festyny, działały grzmiały, procesye chodziły od kościoła do kościoła, chwalać Boga, że katolicyzm został nienaruszony.

A jednak nie wytepiiono wszystkich ewangelików. Wielu schroniło się do sąsiednich krajów a co najmniej milicji pozostał w kraju, kryjąc się w głębokich lasach i jaskiniach, aż ostatecznie król Henryk 4. nadał im edyktem z Nantes r. 1528 zupełną wolność wyznania.

Powiedziałem, że najbardziej srożyli się przeciw ewangelikom jezuiti. Cóż to są za ludzie, owi jezuiti?

Zakon jezuitów został założony przez hiszpańskiego rycerza, imieniem: Ignacy Loyola. Loyola ranił na wojnie, poświęcił od tej chwili życie swe służbie Maryi i walce przeciwko kacerzom. Zawiązał zakon jezuitów, odznaczający się tem, że każdy z członków musiał być przełożonemu posłuszny »jako trup«. Nie śmiał mieć własnej woli. Ślepo musiał spełniać rozkazy przełożonego.

Jezusowego ducha tam nie znajdziesz. Jeden z tego stowarzyszenia powiada, że Bóg może zakazać bliźniego miłować; inny, że może nakazać kłamstwo; inny, że wystarczy miłować Boga w chwili śmierci i t. d.

Osadzali się w miastach, wszędzie nakłaniając książąt do wypędzania księży ewangelickich i zmuszenia poddanych do wstąpienia na łono jedynie zbawionego kościoła katolickiego.

Tak nakłonili jezuiti francuskiego króla Ludwika 14. do zniesienia edyktu z Nantes. Król uległ. I kazał odrazu zburzyć 1600 ewangelickich kościołów. Dla ewangelików nastało istne piekło. Żołnierze wieszali mężczyzn i kobiety w kominach, innym wyrywali włosy, rozpalonemi kleszczami odrywali nosy, zmuszali ich chodzić boso po rozpalonych węglach — —

Trochę lepiej powodziło się ewangelikom w Anglii. Król Henryk VIII. († 1547) ogłosił się r. 1531 głową kościoła w Anglii zrywając z papieżem, pozostawiając atoli niełknietą katolicką naukę. Lecz nie było u niego stałości. Dziś kazał wypędzać ewangelików, jutro ich znowu sprowadzał.

Natomiast syn jego, Edward VI., pociął zaprowadzenie ewangelickich nabożeństw, ale umarł niebawem, nie dokończywszy dzieła reformacji. Siostra jego Marya zasiadła na tronie. Zaraz zginęło 400 ewangelików na stosie, między nimi najuczeńsi mężowie.

Stosunkowo najlepszą dolię mieli ewangelicy w Polsce.

Król Zygmunt August (1548—1572) sprzyjał ewangelikom. W roku 1555 zgromadziła się polska szlachta w Piotrkowie, domagając się zniesienia bezżenności księży, zaprowadzenia Wierzy Pańskiej pod obiema postaciami i zaprowadzenia języka polskiego przy nabożeństwach. Papież nie zgodził się na to. Natomiast posłał do Polski swych legatów celem zwalczania ewangelicyzmu. Ale szlachta nie usłuchała rozkazów Rzymu. Powołała głęboko uczonego ziomka Jana Łaskiego do dzieła reformacyi.

Po śmierci Zygmunta zawarła ewangelicka szlachta konfederacyę, której udało się przed wyborem nowego króla przeprowadzić tak zwany »Pax dissidentium« — w r. 1573 — na mocy którego to **ogólnego pokoju religijnego** katolicy i ewangelicy mieli na wieczne czasy żyć z sobą w wzajemnej zgodzie, dzieląc równe prawa religijne i obywatelskie.

Nowo obrany król przy wstąpieniu na tron nie chciał przyjąć, że trzymał się będzie tej ustawy. Wtedy marszałek państwa uderzył go hardemi słowy: »Si non iurabis, non regnabis« — Jeżeli nie złożysz przysięgi, nie będziesz królował.

Tymczasem już za rok opuścił Polskę, udając się do Francyi. Następca jego Stefan Batory trzymał się ustawy. Za czasów następcy Zygmunta III. przyszło gdzieś do miejscowych prześladowań, ale resztą ewangelicy mieli swobodę.

W r. 1772 przyszło do rozbioru Polski. Odąd dzieje ewangelików złączone są z dziejami zaborczych państw, — Niemiec, Rosyi i Austrii.

Najokrutniej prześladowano wyznawców ewangelii Jezusowej w Austrii. Jeden obraz: w Salzburgu po rozmaitych dokuczeniach wypędzono ewangelików, w liczbie 30-000 wśród najsroźszej zimy z kraju. Jedni poszli do Ameryki, drudzy znaleźli w Prusiech nową ojczyznę.

A jakóż też powodziło się naszym przodkom na Śląsku?

Na Śląsku wiara ewangelicka rozkrzewiła się mocno w 16. stuleciu. Pod koniec tego wieku naliczyć było można w całym Śląsku (do niedawna: pruskim i austryackim) 1500 ewangelickich kościołów.

W r. 1579 umarł ewangelicki książę Wacław Adam, pozostawiając małoletniego syna Adama Wacławia. Rządy opiekuńcze sprawuje matka Katarzyna Sydonia.

Za jej rządów wybudowali sobie ewangelicy kościół św. Trójcy. Grunt pod kościół darowała księżna.

Tymczasem wyrósł Adam Wacław i objął rządy. Chwiejny ten charakter jest najprzód dla ewangelickiego kościoła bardzo gorliwy, za gorliwy, nawet, ale później godzi w samą pierś ewangelików. A dlaczego? Oto dlatego, że nie był charakterem, ale łasił się cesarzowi, który otoczony jezuitami zgrzytał zębami

na samą wzmiankę o ewangelikach. Książę Adam Wacław przestąpił do kościoła katolickiego a nad dawnymi współwyznawcami począł się znęcać. Zabrał im wszystkie kościoły. Po wielu prośbach przyznał im w końcu kościół św. Trójcy. Nie mniej nieprzychylny dla ewangelików był syn jego Fryderyk Wilhelm.

Po jego śmierci panowała Elżbieta Lukrecya, lubo katolicka, broniła ewangelików. Cesarz Ferdynand II. wydał rozkaz, że wszyscy ewangelicy mają wrócić do kościoła rzymskiego.

Poczęto wypędzać kaznodziejów, odbierano kościoły i szkoły, poumieszczano po kwaterach żołdactwo wyuzdane, najtwardszych ewangelików pałaszem gnano do mszy.

W Jaworzu zwołano wydział obywatelstwa na ratusz, wzywając go do przestąpienia. Obywatele nie chcieli tego uczynić. wtedy pociągnięto kredą linię po podładze, mającą oddzielić owce od kozłów. Pod przymusem radni przekroczyli, ale gdy żądano od nich przysięgi, że dobrowolnie przestępują, pewien niski kupiec odezwał się: Panie, przysięgniemy, jeżeli wy przysięgniecie, żeście nas zmusili.

Gdzieindziej męczono i katowano ewangelików, nie pozwalano spać, matkom zabierano niemowlęta...

A ten, co kierował tem szatańskim dziełem — hrabia Dohna — chełpił się, że Piotr kazaniem swem nawrócił trzy tysiące dusz, ale on bez kazania nawrócił o wiele więcej.

Podobne męczarnie nie ustały.

1653. r. ustanowiono komisję do przeprowadzenia zamknięcia kościołów w Księstwie Cieszyńskiem.

Razem odebrano 50 kościołów; między tymi kościół w Pietwałdzie, Karwinie i Frysztaćcie.

Odebrano kościoły; ale wiedziano dobrze, że wiara ewangelicka nie w domach Bożych, ale w sercach mieszka. Dlatego godzono w samo serce. Zakazano czytać Biblię, zakazano śpiewać pieśni, bo w taki sposób nie było można rozszerzać jedynie zbawiennej wiary katolickiej.

I zachodziło wielkie ważne pytanie, czy ewangelicy wygnani z kościołów i tak strasznie prześladowani, nie wyrzekną się wreszcie swej ewangelii? Nie! za nic w świecie nie byliby wydali swej ewangelii! W piwnicach, przy szczypie zgromadzali się w nocach, czytając Biblię, którą podczas dnia w kominie lub pod deskami ukrywali; w dziatwie zaszczipiali naukę ewangelicką, a czasem w nocy poszli do gęstych lasów na tak zwane spowiedziska, bo z zagranicy przyszedł ksiądz, by im objaśnić słowo Boże i podać Wieczerzę Pańską. Oj, nieraz uderzyli dragoni na modlący się zbór, zabierając z sobą księdza i znamienitszych starszych do więzienia zamkowego w Cieszynie, znęcając się nad nimi po dncidze w sposób nie do opisanja.

A gdy w żaden sposób dłużej wytrzymać nie mogli, to opuszczali ten swój piękny śląski kraj, kraj rodzinny, drogi...

Ale zmienić się nie dali — ci dzielni Ślązacy — »te luterskie bestye«, jako ich przezywano.

Głupi ludzie — myśli tam ktoś — że dla wiary tyle cierpieć! Mogli przecież w ukryciu być ewangelikami, nie pokazując tego na zewnątrz.

Nie! tak, dziś niejedna z powodu wyjścia zamaż staje się Judaszem. Ale nasi przodkowie byli sobie tego świadomi, że człowiek bez stałej wiary — to nędzna kreatura, to żaden charakter, żaden człowiek.

I w tej wierze trwali dalej, wytrwali i doczekali się lepszych czasów. Król szwedzki Karol XII. uzyskał od cesarza Józefa I. dla śląskich ewangelików altransztedzką ugodę (22. sierpnia 1707). Ugoda altransztedzka została uzupełnioną tak zwanym recesem egzekucyjnym z roku 1709, opiewającym, że ewangelikom wolno w porozumieniu z władzą cesarską mrować kościoły, tylko że te kościoły należy budować poza obrębem miasta w odległości jednego wystrzału działa. Na mocy tej ugody powstało sześć kościołów, z których jeden wznosi się na cieszyńskim Syonie. Nazwano je kościołami łaski.

Radość rozpromieniła oblicza. Serca zagrzały się do rącznej pracy.

Ale ciężkie jeszcze ewangelicy przechodzili chwile. Aż cesarz Józef II. wydał 13. października 1781. roku patent toleracyjny. Na mocy tego rozporządzenia miano ewangelików cierpieć w kraju. Nie wiele to znaczyło — a jednak ewangelicy poczęli rość, jak grzyby po ciepłym deszczu.

Dnia 8. kwietnia, 1861. roku wydał cesarz Franciszek Józef I. patent protestancki, przyznający ewangelikom zupełną wolność religijną i równouprawnienie pod względem obywatelskim i politycznym.

Wszędzie śpiewano pieśni dziękczynne. Sprawdziły się słowa hymnu w czasach wielkiej niedoli nuconego:

»Pan swych rozweseli  
Wiernych miłośników,  
Co długo cierpieć  
Złość od przeciwników«.

## Drodzy ewangeliccy chrześciance!

My ewangeliccy chrześciance mamy teraz swobodę i wolność pod względem religijnym i obywatelskim na równi z innymi wyznaniem. Cieszymy się z tego dla własnej osoby, jak nie

m.niej dlatego, iż demokratyczny duch Jezusa opanował świat. W przyszłości dola nasza nie będzie zależała od jakiegoś monarchy, którego rozkazy lud ślepo spełniać musiał. Dola nasza zależeć będzie od nas samych. Do niedawnego czasu przeprowadzał monarcha i jego rząd swoją wolę, narzucając ją ludowi, odtąd rząd spełniać będzie musiał wolę ludu. A lud — osobliwie niższe warstwy nigdy nie pozwolą, by miał ktoś ucisk cierpieć dla osobistego przekonania, dla wiary. Kościół rzymski, lubo dotąd możny, bogaty, nie będzie w stanie stawić czoła woli ludu. A ponieważ lud, choćby i katolicki, wymagał będzie wszędzie i zawsze słuszności i sprawiedliwości, przeto religijnych prześladowań ze strony Rzymu obawiać się nie musimy.

Zresztą, przyjaciele, świat krokami olbrzyma idzie naprzód, oświata się szerzy, kultura się rozwija, nowy ustrój świata stąpi na miejsce starego — i jako mocarstwa świeckie runęły, tak w przyszłości pod naciskiem ducha sprawiedliwości miłości i pokoju runie i mocarstwo papieskie oparte na duchownym militarzynie.

I z tego punktu widzenia my, ewangelicy, których nas jest 250 milionów na świecie, z jak najlepszą nadzieją patrzeć możemy w przyszłość. My mamy wielkie zadanie do spełnienia. Dwa są najprzedsniejsze. Z jednej strony pracować musimy nad wzniesieniem poziomu moralnego i kulturalnego na stopień prawdziwego ewangelizmu, a z drugiej strony ducha ewangelicyzmu musimy pogłębiać tak, ażeby Jezus mógł stać się Panem wszystkich żyjących. A kiedy jego duch owilonie wszystkie serca, wtedy i kościoły znikną, bo wszyscy sobie równymi będą pod każdym względem. Świat cały będzie jednym św. kościołem, będzie jedna owczarnia i jeden pasterz.

Bracia i siostry, któżby nie chciał ręki przyłożyć do takiego dzieła? Wyrzekniemy się wszystkich osobistych względów, a pracujemy dla tej wzniosłej i doniosłej idei.

Gdyby był kościół katolicki tak pracował, może dziś już żylibyśmy w świecie podobnym do raju. Gdyby rzymska hierarchia nie była ludowi przynależnych mu praw zabrała, ten lud dziś stałby na innym poziomie.

Tymczasem Rzym upatrywał w ludziach istoty stworzone nie do panowania i objawienia swojej woli, ale do słuchania i wyzyskiwania. A tego nauczyli się od niego świeccy panowie. Lud, robotnik, dobry był do płacenia, dziesięciny i podatków, dobry był do wojny, ale też do niczego innego więcej. Chyba by tyle jeszcze pozostawił po sobie, aby tego starczyło na mszę.

Natomiast kościół ewangelicki od razu proklamował wolność, równość i braterstwo. To same hasło głosi od chwili powstania socjalna demokracja.

Socyalnej demokracji nie śmiemy oceniać po niektórych ludziach mniejszej wartości. Jej zasady musimy ująć i z pod tego punktu widzenia ją oceniać.

Czyż jest socyalna demokracja dziełem antykrysta, jako często z ust katolickich się słyszy, albo czyż ona niema raczej dużo wspólnego z Jezusem i naszym kościołem?

Przypatrzmy się temu stowarzyszeniu trochę bliżej!

Socyalizm dzięki swej znakomitej międzynarodowej organizacji pracuje nad polepszeniem położenia klas robotniczych. Jest w tem coś złego? Żadną miarą!

Swojego czasu przystąpili uczniowie do Jezusa, mówiąc: »Rozpuść lud do okolicznych miasteczek, aby kupił sobie żywności.« A Jezus taką dał im odpowiedź: »Nie potrzeba im odchodzić, dajcie wy im jeść. Miałaby Jezus te słowa wypowiedziane, ten Jezus, który leczył wszystkie choroby, który ujmował się za biednymi i pragnął, by wszelka nędza znikła ze świata — miałaby on być przeciw pracy socyalistów w kierunku poprawienia ziemskiej doli? Nigdy! Jezus nie chce, by robotnika wyzyskiwano. To miał uznać kościół, mniający się być stróżem nauki Jezusa. On miał bronić uboższej klasy przed niesprawiedliwością, ale ponieważ tego nie uczynił, przeto lud powstał do samoobrony.

Nic dziwnego, że niechęć skierowała się tak w stronę wyzyskiwaczy, jak i w stronę tych, którzy byli powołani bronić go.

Kościół ewangelickiego winą tu się nie czepia. Ewang. kościół zaczął się u nas na Śląsku dopiero po roku 1861. organizować; aż po dziś dzień ma z wielkimi trudnościami do walczenia. Jeden pastor na przeciętnie 6000 dusz nie jest w stanie podołać wszystkiej pracy. Stąd też tłumaczy się, że nasz kościół nie stanął w obronie robotniczych klas tak, jak tego potrzeba wymagała.

Nie stanął w obronie? Owszem! Czemże bowiem jest kościół podług nauki Jezusa i naszego wyznania? Jest zbiorowiskiem, jest zborem wierzących. Kościół nie tworzy tylko ksiądz, ale każdy członek. Z ewangelików każdy jest niby cegłą w owej budowie, co się kościołem zowie. Z tego stanowiska zapatrując się na sprawę, śmiało rzecz można, że kościół nasz pracuje dla dobra klas robotniczych. Bowiem w związku socyalistów znajdujemy spiorą liczbę tegich głów ewangelickich, którzy wszystkie swe siły wyteżają i wyprężają pod względem pracy społecznej. A praca dla ludu jest Bogu przyjemną.

Ale socyaliści postępują zbyt radykalnie?!

Przyjacielu, nie tak radykalnie, jak postępował rzymski kościół z ewangelikami. Jeżeli jest powód skarżyć się na ich radykalność, to trzeba wziąć pod uwagę, że Rzym ich tej radykalności nauczył, a że z drugiej strony na stopniu teraźniejsze-



go rozwoju duchowego dobrocią i łagodnością nie wiele się osiągnie.

Dobrze. Wszelako socjaliści domagają się rozdziału, odłączenia kościoła od państwa?

I w tem nic złego. Cóż nam na Śląsku dało państwo? Nic, albo bardzo mało. A czy wymagało czego po nas? Wymagało dużo. Ile się to trzeba napisać dla państwa — za darmo. Nie możnaby czasu dla rządu ofiarowanego użyć do odwiedzania chorych, albo dla pracy społecznej? Rząd zabrał nam dalej dzwony i organy, a wzamian dał nam parę barwnych papierów.

Inaczej ma się rzecz z kościołem katolickim. Jego dziesiątki tysięcy księży otrzymują od państwa płacę, a na domiar dobrodziejstw z obszernych, rozległych swych dóbr nie płaci żadnego podatku, albo tylko minimalny. Więc choćby i przyszło do podziału, my na tem nie tracimy nic.

Tymczasem i nasi socjaliści nie chcą zupełnego odłączenia. Chcą oni naukę religii pozostawić w szkole; wymagają tylko, by katecheci wychowywali dzieci religijnie, nie zaś, by już w młodych umysłach rozniecali nienawiść wyznaniową. I pod tym względem przyznawamy socyalistom słusność.

Lecz jakóż ma się rzecz z twierdzeniem socyalistów, że religia jest rzeczą prywatną? Czyż nie można wyrażenia »rzecz prywatna« różnie rozumieć? Owszem. Można w nie włożyć różne tłumaczenia. Może określać zupełną niewiarę, ateizm, ale też oznaczać głęboką religijność.

Rozmawiałem na ten temat z pewnym socyalistą, a ten oświadczył, że religia stanowi dla niego świętą rzecz prywatną. To znaczy: ze stanowiska religii Jezusowej zapatrywał się ten współbrat na stosunki tego świata; w duchu Jezusa, chciał pracować.

I póki tacy ludzie stać będą u steru towarzystwa socyalistów, póty należy się im wszelkie uznanie i poparcie z naszej strony. Wiemy co prawda, że różne jednostki chcą w naszych braci wmówić, że Boga nie ma i dla tego też trzeba zerwać z religią; ale to też wiemy, że podobne głosy u naszych śląsko-polskich socyalistów nie znajdują posłuchu. Dzielią oni przekonanie, że człowiek bez religii prędko karłowacieje i marnieje na ciele i duszy. Nie! Prasa socyalistyczna u nas nwaołuje członków do pocziwego, moralnego życia, wychodząc z zasady, że tylko zdrowe i zdrowo myślące osobistości, charaktery czyste popchną świat na nowe życia koleje.

U nas socyalizm zdziałał dużo dobrego. Był on i jest źródłem oświaty i cywilizacji. A jeżeli to źródło, z którego wpływa nowy duch czasu, ma wydawać szczęście i nadać, wtedy nie śmiemy zapomnieć o potężnej skale, z której ono wytryska. A któż jest ową skalą? — Bóg! przyjaciele!

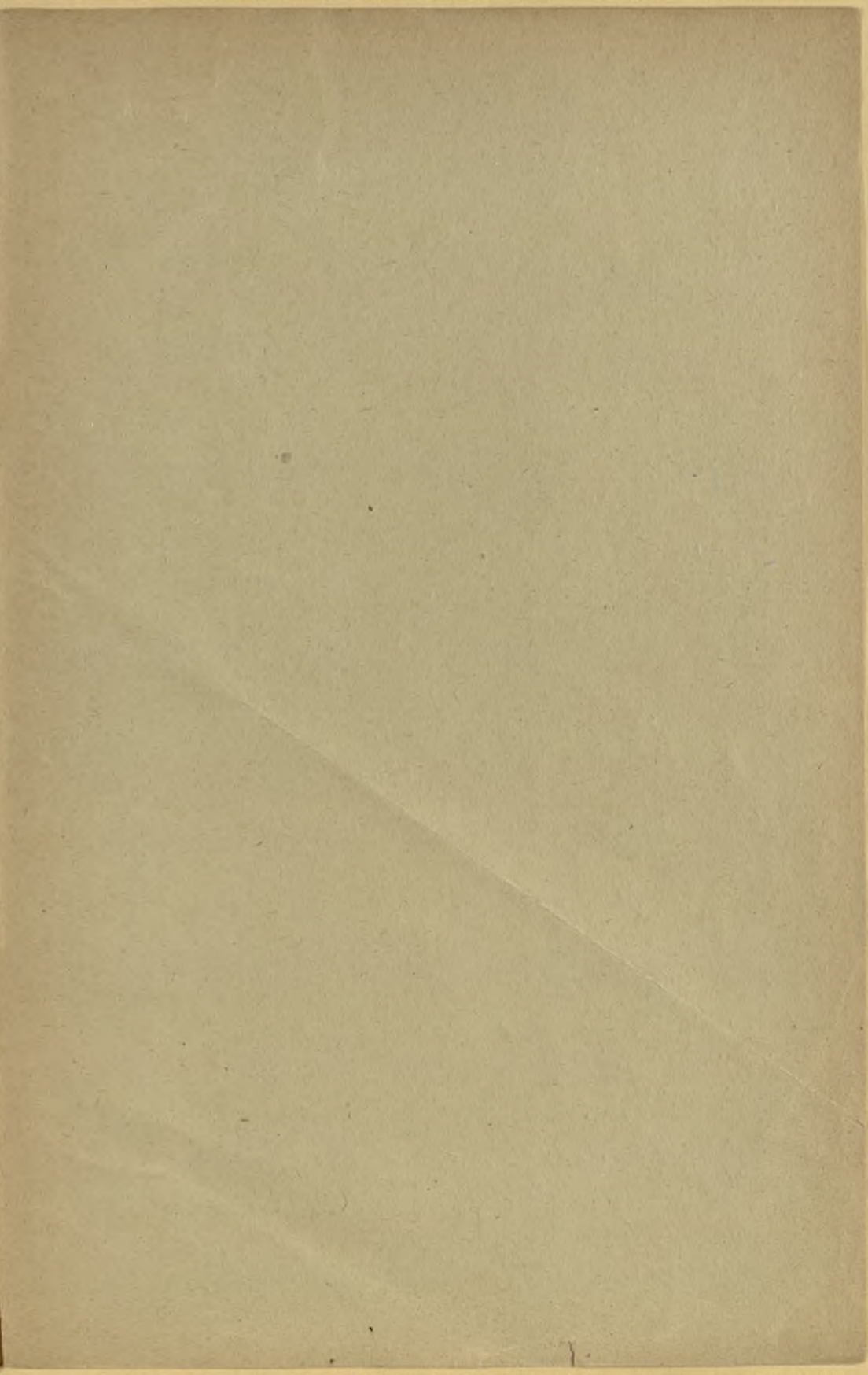
Kto z Bogiem — Bóg z nim! Im bliżej się z nim poznamy, tem serdeczniejszy stosunek wytworzy się między nim a nami. A kiedy skosztujemy, jak dobrze jest z nim, wtedy tem gorliwiej pracować będziemy, wyrzekając się wszelkiego samolubstwa, dla dobra ogółu, posiadając przy tem słowy nie dające się określić szczęście osobiste. Stańmy się jego narzędziem, a rozkrzewi się cudowne królestwo niebieskie na ziemi!

Z tego, cośmy dotąd powiedzieli, wnioskujemy, że organizacya socyalistyczna jest w myśl naszego kościoła, tylko, że ewangelicka religijność sięga dalej i głębiej. Socyalizm ma do czynienia wyłącznie z zewnętrznem szczęściem człowieka, ewangelizm zaś dąży nie tylko do zewnętrznego szczęścia, rozchodzi mu się w równej mierze o wewnętrzną szczęśliwość — o »czyste serce«.

I dopiero tam może wyjść zewnętrzna organizacya na dobro ludzkości, gdzie są czyste serca, osobistości z przekonan-  
niem, na które liczyć, na które spuścić się można. A nasza ewangelicka wiera wychowuje ludzi na taki stopień prawdziwego człowieczeństwa, na stopień Jezusa i w ten sposób dostarcza świeckiej organizacyi najdzielniejszych i najwierniejszych pionierów; nie słowa mężów, ale mężów czynu!



THE  
JOURNAL  
OF  
THE  
AMERICAN  
MEDICAL  
ASSOCIATION  
PUBLISHED WEEKLY  
CHICAGO, ILL.  
1914



C 005144 II

KOMP.